

T. MANN

ŚMIERĆ W
WENEJ

prz. L. Staff

WROCLAW '92



Gustaw Aschenbach lub von Aschenbach, jak od pięćdziesiątej rocznicy urodzin urzędowo brzmiało jego nazwisko, wybrał się sam w pewne letnie popołudnie roku 19..., który pokazywał naszemu kontynentowi przez całe miesiące tak niebezpiecznie groźne oblicze, na dłuższą przechadzkę ze swego mieszkania przy ulicy Księcia Regenta w Monachium. Przemęczony trudną i niebezpieczną pracą przedpołudniowych godzin, wymagającą właśnie teraz ostrożności, oględności, przenikliwości i skrupulatnej woli, literat nie mógł i po południu wstrzymać działania twórczego mechanizmu swego umysłu, owego *motus animi continuus*¹, w którym Cicero upatrywał istotę wymowy, i nie znalazł ulgi w drzemce, która przy rosnącym zużywaniu się jego sił była mu raz na dzień tak potrzebna. Więc zaraz po herbacie wyruszył na miasto, w nadziei, że powietrze i ruch postawią go na nogi i pomogą mu użytecznie spędzić wieczór.

Był początek maja i po mokrych, zimnych tygodniach nastała złudna pełnia lata. Ogród Angielski, choć dopiero co okryty delikatną zielenią, był duszny jak w sierpniu i w pobliżu miasta pełen powozów i spacerowiczów. U Aumeistra, dokąd wiodły go coraz cichsze ścieżki, Aschenbach przyglądał się przez chwilę ożywionej popularnej piwiarni ogrodowej, przy której stało kilka dorożek i ekwipażów, stamtąd o zachodzie słońca wracał drogą poza parkiem przez otwarte pole i ponieważ czuł się zmęczony, a znad Föhring nadciągała

¹ *motus animi continuus* (łac.) — ustawiczny ruch ducha.

burza, czekał przy północnym cmentarzu na tramwaj, który miał go zawieźć prosto do miasta.

Przypadkiem na przystanku i w jego okolicy nie było nikogo. Ani na brukowanej ulicy Ungerera, której samotnie lśniąca szyny ciągnęły się do Schwabing, ani na szosie do Föhring nie było widać żadnego wozu; za parkanami zakładu kamieniarskiego, gdzie wystawione na sprzedaż krzyże, tablice pamiątkowe i pomniki tworzyły drugi, nie zamieszkały cmentarz, było cicho i bizantyjski budynek przeciwległej cerkwi stał milczący w odblasku odchodzącego dnia. Jej front, ozdobiony greckimi krzyżami i hieratycznymi wizerunkami, ukazywał nad nimi w złote litery symetrycznie ujęte, wybrane napisy, przyszłego życia dotyczące przysłowia: „Wchodzę do przybytku Pana” albo: „Światło wiekuiste niechaj im świeci”. I czekający znalazł na kilka minut poważną rozrywkę w odczytywaniu formuł, pozwalając duchowemu oku błądzić w prześwitującej z nich mistyce, gdy wracając z urożeń, w portyku, ponad dwoma apokaliptycznymi zwierzętami strzegącymi zewnętrznych schodów, spostrzegł mężczyznę, którego niezupełnie zwykły widok nadał myślom jego całkiem inny kierunek.

Czy mężczyzna ten wyszedł z wnętrza hali przez brązowe drzwi, czy też niepostrzeżenie dostał się tam z zewnątrz, jest rzeczą niepewną. Aschenbach, nie zagłębiając się w to zbyt, przychyłał się do pierwszej możliwości. Średniego wzrostu, chudy, bez zarostu, uderzająco tęponosy, należał ten człowiek do typu rudowłosych i posiadał ich mleczną i piegowatą cerę. Widocznie nie był tubylcem; przynajmniej szeroki, o prostych skrzydłach kapelusz z łyka, okrywający jego głowę, nadawał jego osobie wygląd cudzoziemca przybyłego z daleka. Co prawda miał, jak miejscowi, plecak przytroczony do barków, żółtawe, jak się zdaje lodenowe, ubranie z paskiem, szary kaptur od deszczu na lewej ręce, przyciśniętej do brzucha, a w prawej okuty kij, który ukośnie wparł w ziemię i na którego czekanie, skrzyżowawszy nogi, opierał się biodrem. Z podniesioną głową, tak że na chudej jego szyi,

sterczącej z luźnej koszuli sportowej, silnie występowało gołe adamowe jabłko, patrzył badawczo w dal bezbarwnymi, rudorzęsyimi oczami, między którymi, dość dziwnie przystając do jego krótkiego, zadartego nosa, zaznaczały się dwie pionowe, energiczne fałdy. Może przyczyniło się do tego wrażenia wywyższone i wywyższające miejsce, na którym stał — ale postawa jego miała w sobie coś władczego dalekowiedzącego, śmiałego lub nawet dzikiego; bo, czy to dlatego, że oślepiiony blaskiem wykrzywił się do niskiego słońca, czy też zachodziło tu stałe zniekształcenie fizjonomii, wargi jego zdawały się zbyt krótkie, nie osłaniały zębów, które, obnażone aż do dziąseł, sterczały białe i długie.

Być może, że Aschenbach podczas swego na wpół roztrągniętego, na wpół inkwizytorskiego lustrowania cudzoziemca był zbyt bezceremonialny, gdyż nagle spostrzegł, że tamten spojrzał nań także, i to tak wojowniczo, tak wprost w oczy, z tak jawną decyzją doprowadzenia do ostateczności i zmuszenia tamtego do spuszczenia wzroku, że Aschenbach boleśnie dotknięty, odwrócił się i począł iść wzdłuż parkanów z postanowieniem niezważania na tego człowieka. W następnej minucie zapomniał o nim. Ale czy to coś z wędrowca w postaci cudzoziemca podziało na jego wyobraźnię, czy grał tu rolę jakiś inny wpływ fizyczny lub duchowy, dość iż uświadomił sobie, że coś rozpięra mu piersi, jakiś nieuchwytny niepokój, młodzieńcza tęsknota za dałą, uczucie tak żywe, tak nowe albo też tak już niezwykłe i zapomniane, że z rękami założonymi w tył i ze wzrokiem utkwionym w ziemię przystanął nieruchomo, by zbadać istotę i sens tego wrażenia.

Była to chęć do podróży, nic więcej, ale przyszła jak atak, urastała w namiętność i halucynację. Pragnienie jego stało się wizją, wyobraźnią, nie uspokojona jeszcze po godzinach pracy, tworzyła sobie wzór dla wszystkich cudów i straszliwości różnorodnych krajów, które starał się sobie naraz przedstawić: widział krajobraz, tropikalną okolicę bagnistą pod pokrytym gęstymi oparami niebem, wilgotną, bujną

i potworną, rodzaj dziewiczej prapuszcz, pełnej wysep, mokradeł i szlam niosących żył wodnych; widział, jak z jur-nych gąszczy paproci, jak z podłoża tłustej, napęczniałej, awanturniczo kwitnącej roślinności sterczały w pobliżu i w dali włochate pnie palm, widział, jak dziwacznie niekształtne drzewa zanurzają korzenie swoje przez powietrze w ziemię, w znieruchomiałe, zielone cienie odbijające fale, gdzie wśród pływających kwiatów, mlecznie białych i wielkich jak misy, ptaki dziwnego rodzaju, o krótkich szyjach i niekształtnych dziobach, stojąc w płytkich wodach spoglądały nieruchomo w bok; widział między sękatymi trzcinnami bambusowych kęp lśniące świeczki czyhającego tygrysa — i czuł, że serce bije mu z przerażenia i zagadkowego pożądania. Potem widzenie znikło i potrząsnąwszy głową podjął Aschenbach znowu swoją wędrówkę wzdłuż parkanów nagrobkowej wytwórni.

Przynajmniej odkąd mógł dowolnie korzystać z przywileju włóczenia się po świecie, uważał podróże tylko za środek higieniczny, którego używał od czasu do czasu, wbrew skłonności i ochocie. Zbyt zajęty zadaniami, które wkładało nań jego „ja” i europejska dusza, zbyt obarczony zobowiązaniami tworzenia, nie bardzo chętny rozrywkom, aby być miłośnikiem wielobarwnego świata zewnętrznego, zadowalał się zupełnie pojęciem o świecie, jakie zdobyć może każdy człowiek na ziemi, nie ruszając się daleko ze swego kąta; nigdy też nie zaznał pokusy opuszczenia Europy. Odkąd zaś życie jego zaczęło się skłaniać ku zachodowi, odkąd jego lęk artysty, że nie skończy — owa troska, że zegar ustanie, zanim on dokona swego i całkowicie ukaże siebie samego — nie dał się już zepchnąć na bok jako zwykłe dziwactwo, zewnętrzne życie jego ograniczyło się prawie wyłącznie do pięknego miasta rodzinnego i do prostej siedziby wiejskiej, którą sobie urządził w górach i gdzie spędzał dżdżyste lata.

Zarazem też to, co go tak późno i nagle opadło, zostało natychmiast zahamowane i sprostowane przez rozum i od młoda stosowaną samodyscyplinę. Miał zamiar dzieła, dla

którego żył, doprowadzić do pewnego punktu, zanim osiadł na wsi, i myśł o włóczędze po świecie, która by na miesiące uniemożliwiła mu pracę, zdawała się zbyt pusta i przeciwna jego planom, nie można jej było brać w rachubę. A jednak wiedział zbyt dobrze, z jakiego powodu pokusa powstała tak niespodzianie. Chęcią ucieczki, musiał wyznać sobie, była tęsknota za dałą i nowością, to pragnienie wyzwolenia się, zrzucenia ciężaru i zapomnienia, oderwania się od dzieła, od codziennego miejsca skostniałej, zimnej i namiętnej służby. Wprawdzie kochał ją i niemal kochał też już denerwującą, co dzień się odnawiającą walkę między swą wytrwałą i dumną, tak często doświadczaną wolą i tym rosnącym znużeniem, o którym nikt nie powinien był wiedzieć i którego nie wolno było dziełu zdradzić żadną oznaką niemocy i zmęczenia. Ale zdawało się rzeczą rozsądną nie napinać zbyt łuku i tak żywo wybuchającej potrzeby samolubnie nie tłumić. Myślał o swej pracy, myślał o miejscu, w którym też dzisiaj, jak i wczoraj, musiał ją porzucić, i które nie chciało się poddać ani cierpliwemu obrobieniu, ani załatwieniu od ręki. Badał je na nowo, próbował przełamać przeszkodę lub ją usunąć i z dreszczem wstrętu zaniechał natarcia. Nie nastęrczała się tu żadna nadzwyczajna trudność, lecz paraliżowały go skrupuły niechęci, która okazała się nie dającą się już zadowolić wybrednością. Wybredność, co prawda, wydawała mu się już jako młodzieńcowi istotą i najgłębszą naturą talentu i gwoli niej powściągnął i oziębłł uczucie, wiedział bowiem, że skłonny jest zadowolić się jakimś wesołym trafem lub połowiczną doskonałością. Mściłóż się więc teraz ujarzmione uczucie opuszczając go, wzbraniając się nadal wznosić i uskrzydlać jego sztukę i odbierając mu całą rozkosz, cały zachwyt, jaki daje forma i wyraz? Nie aby tworzył złe rzeczy; to przynajmniej było przywilejem jego lat, że każdej chwili czuł się spokojnie pewny swego mistrzostwa. Ale on sam, kiedy naród go czcił, nie cieszył się z tego i zdawało mu się, że dzieło jego brak owej cechy ognistego humoru, który będąc wytworem radości bardziej niż jakakolwiek wewnętrzna treść, jakaś

poważniejsza zaleta, stanowił radość delektującego się jego dziełem świata. Bał się lata na wsi, spędzonego samotnie w małym domu z kucharką, która mu gotowała, i ze służącym, który mu podawał do stołu; bał się dobrze znanych obrazów wierchołków i ścian górskich, które znów będą świadkami jego niezadowolonej powolności. Więc trzeba było jakiejś wstawki, trochę improwizowania, próżniactwa, wiatru z daleka, dopływu nowej krwi, aby lato stało się znośne i płodne. Więc podróż — dobrze. Nie bardzo daleko, nie gdzieś aż do tygrysów. Jedna noc w sypialnym wagonie i sjeśta dwu-, trzytygodniowa w jakiejś uczęszczanej miejscowości na przełomie południu...

Tak myślał, gdy hałaśliwy tramwaj elektryczny zbliżał się do ulicy Ungerera. Wsiadając postanowił, że wieczór ten poświęci studiowaniu mapy i rozkładu jazdy. Na platformie przypomniał sobie, by rozejrzeć się za człowiekiem w kapeluszu z lyka, towarzyszem tego bogatego w następstwa wieczoru. Nie wiadomo, gdzie się podział, bo nie było go ani na poprzednim stanowisku, ani na przystanku, ani w wagonie.

Autor jasnej i potężnej epopei prozą o życiu Fryderyka Pruskiego; cierpliwy artysta, który z długotrwałą pilnością tktał bogaty w figury, gromadzący w cieniu idei różne losy ludzkie dywan powieściowy pod tytułem *Maja*; twórca owej mocnej powieści, która nosi nagłówek *Nędznik* i ukazuje całej wdzięcznej młodzieży możliwość moralnej decyzji poza najgłębszym poznaniem; twórca wreszcie (i to określa krótko dzieła okresu jego dojrzałości) namiętnej rozprawy o „Duchu i sztuce”, której porządkująca siła i antytetyczna wymowa skłoniły poważnych sędziów do postawienia jej bezpośrednio obok rozprawy Schillera o naiwnej i sentymentalnej poezji — Gustaw Aschenbach więc urodził się w L..., powiatowym mieście prowincji śląskiej, jako syn wyższego urzędnika sądowego. Przodkami jego byli oficerowie, sędziowie, funkcjonariusze administracji, mężowie, którzy w służbie króla, państwa wiedli swój surowy, przystojnie skąpy żywot. Bogatsze życie duchowe ucieleśniło się raz wśród nich w po-

staci karnodziei; żywszej, bardziej zmysłowej krwi zastrzyknęła rodzinie w poprzednim pokoleniu matka pisarza, córka czeskiego kapelmistrza. Od niej pochodziły cechy obcej rasy w jego powierzchowności. Połączenie służbowo trzeźwej sumienności z ciemniejszymi, ognistszymi popędami pozwoliło powstać artyście, i to osobliwemu artyście.

Ponieważ cała jego istota dążyła do sławy, okazywał się, jeśli nie przedwcześnie dojrzałym, to jednak, dzięki stanowczości i dobitnie zaakceptowanej osobowości, wcześniej dojrzałym i przysposobionym do publicznego występu. Już w gimnazjum zdobył sobie nazwisko. W dziesięć lat później nauczył się reprezentowania zza biurka, zawiadywania swą sławą, pisania listów, które musiały być krótkie (bo zasypywano mnóstwem wymagań człowieka sławnego i godnego zaufania), dobrotliwe i pełne znaczenia. Jako człowiek czterdziestoletni, zmęczony kłopotami i zmiennymi kolejami właściwej pracy, miał co dzień do załatwienia pocztę opatrzoną markami wszystkich krajów.

Daleki zarówno banalności, jak ekscentryczności, talent jego stworzony był do zdobycia zarazem zaufania szerokiej publiczności i pełnej podziwu i wymagań sympatii wybrednych. Więc już jako młodzieniec, od którego zewsząd oczekiwano dzieł, i to nadzwyczajnych, nie znał nigdy próżniactwa, nigdy beztroskiego niedbalstwa młodości. Gdy w trzydziстым piątym roku życia zachorował w Wiedniu, pewien bystry obserwator wyraził się o nim w towarzystwie: „Oto Aschenbach żył od dawna tylko tak — i mówca zacisnął palce lewej ręki w pięść — nigdy tak” — i swobodnie zwiesił otwartą rękę z poręczy fotela. To było trafne; a męstwo jego postawy moralnej polegało na tym, że z natury bynajmniej nie był silny i do stałego napięcia raczej tylko powołany, a właśnie nie urodzony.

Troskliwość lekarzy zabroniła chłopcu uczęszczania do szkoły i skazała go na naukę domową. Wyrósł samotnie, bez kolegów, a jednak wcześniej musiał poznać, że należy do pokolenia, w którym rzadkością był nie talent, ale fizyczna

postawa, umożliwiająca talentowi pełny rozwój — do pokoleń, które zwykło wcześniej wydawać to, co najlepsze, i w którym zdolność rzadko dochodzi do lat. Ale ulubionym słowem jego było „przetwać” — w swej powieści o Fryderyku widział właśnie apoteozę tego rozkazodawczego słowa, które wydawało mu się kwintesencją cierpiąco-czynnej cnoty. Pragnął też gorąco zestarzeć się, gdyż od dawna był zdania, że prawdziwie wielkim, wszechstronnym, prawdziwie wartościowym można nazwać tylko ten artyzm, któremu dane było na wszystkich stopniach człowieczeństwa być charakterystycznie płodnym.

Ponieważ więc chciał zadania, którymi obdarzył go jego talent, nieść na wątych barkach i zająć daleko, potrzebował bardzo rygoru — a rygor był przecie na szczęście rodzinnym dziedzictwem ze strony ojca. Mając lat czterdzieści, pięćdziesiąt, w wieku, kiedy inni marnotrawią, roją, wykonanie wielkich planów odkładają spokojnie, zaczynał wcześniej dzień polewaniem piersi i pleców zimną wodą, zapalał kilka wysokich świec woskowych w srebrnych lichtarzach w głowach manuskryptu, składając siły, które zebrał we śnie, przez dwie lub trzy żarliwe i sumienne godziny ranne sztuce w ofierze. Było rzeczą wybaczną, ba, oznaczało nawet właściwie zwycięstwo jego moralności, gdy nieświadomi sprawy uważali świat Mai lub epiczne dłużyzny, w których rozwijało się bohaterskie życie Fryderyka, za wytwór skupionej siły i długiego oddechu, podczas gdy narosły one wysoko warstwami w małych porcjach dziennych z setek pojedynczych inspiracji i tylko dlatego były tak zupełnie i w każdym punkcie doskonale, że twórca ich z wytrwałością woli i uporem, podobnym do tego, jaki zdobył jego ojczystą prowincję, lata całe wytrzymywał pod ciśnieniem jednego i tego samego dzieła i na właściwe wykonywanie obracał wyłącznie swoje najsilniejsze i najwartościowsze godziny.

Aby wybitny utwór ducha mógł z miejsca wyrzucić szeroki i głęboki wpływ, musi istnieć tajemne powinowactwo, ba, zgodność między osobistym losem twórcy i powszechnym

losem współczesnego pokolenia. Ludzie nie wiedzą, czemu jakimś dziełu sztuki gotują sławę. Dalecy znawstwa, zdają się znajdować w nim sto zalet, by usprawiedliwić tak wielkie nim zainteresowanie; ale właściwym powodem ich uznania jest *imponderabile*, sympatia. Aschenbach wyraził to raz bezpośrednio w mało widocznym miejscu, że prawie wszelka wielkość, jaka istnieje, powstała niejako „na przekór”, doszła do skutku wbrew trosce i udręce, biedzie, opuszczeniu, słabości ciała, występкови, namietności i tysiącom przeszkód. Ale było to więcej niż spostrzeżenie, było to doświadczenie, stało się wprost formułą jego życia i sławy, kluczem do jego dzieła — więc jak się dziwić, że taki był też moralny charakter, zewnętrzny gest jego osobliwych figur?

O tym nowym, w różnorakich indywidualnych postaciach wracającym typie bohatera, któremu ten pisarz dawał pierwszeństwo, już dawno pisał pewien rozsądny analityk, że jest on koncepcją „intelektualnej, młodocianej męskości, która w dumnym wstydzie zacina zęby i stoi spokojnie, podczas gdy miecze i oszczepy przeszywają jej ciało”. To było piękne, inteligentne i dokładne mimo piętna pozornej bierności. Gdy stałość wobec losu, pogoda w udręce, nie oznacza tylko cierpliwości; jest ona czynnym osiągnięciem, pozytywnym tryumfem i postać Sebastiana jest najpiękniejszym symbolem, jeżeli nie sztuki w ogóle, to jednak z pewnością sztuki, o której mowa. Spojrzawszy w ten powieściowy świat widziało się: wytworne samoopanowanie, które aż do ostatniej chwili zakrywa przed oczami świata wewnętrzną pustkę, biologiczny upadek; żółtą, zmysłowo ukrzywdzoną brzydotę, która potrafi swój rosnący żar rozniecić w czysty płomień, ba, wznieść się do panowania w królestwie piękna; bladą omdłałość, która czerpie moc z płonących głębi ducha, aby cały krnąbrny lud do stóp krzyża, do s w y c h stóp rzucić; wdzięczną postawę w pustej surowej służbie formy; fałszywe, niebezpieczne życie, szybko wyczerpującą nerwy tęsknotę i sztukę urodzonego oszusta. Biorąc pod uwagę cały ten los i wiele tym podobnych rzeczy, można było wątpić, czy istnieje

w ogóle heroizm inny niż heroizm słabości. Ale któryż heroizm byłby w każdym razie bardziej na czasie niż heroizm słabości? Gustaw Aschenbach był poetą wszystkich tych, którzy pracują u kresu wyczerpania, zbyt obciążonych, już wycieńczonych, jeszcze trzymających się prosto, wszystkich tych moralistów tworzenia, którzy, wątłej budowy, ubodzy w środki, przez entuzjazm woli i mądre szafowanie zdobywają przynajmniej na krótki czas efekty wielkości. Jest ich wielu, są bohaterami wieku. I oni wszyscy odnaleźli siebie w jego dziele, byli mu wdzięczni, głosili jego imię.

Był młody i stał się szorstki z czasem, i ulegając złym radom potykał się publicznie, popełniał błędy, narażał się, grzeszył przeciw taktowi i rozsądkowi słowem i czynem. Ale zdobył godność, ku której, jak mówił, każdy wielki talent ma w sobie wrodzony pociąg i bodziec, ba, rzecz można, że cały jego rozwój był świadomym i upartym, wszystkie hamulce zwątpienia i ironii zostawiającym za sobą wznoszeniem się do godności.

Żywa, intelektualnie nie obowiązująca uchwytność dzieła sztuki zachwyca masy mieszczańskie, ale namiętną, bezwzględną młodzież fascynuje tylko problemowość, a Aschenbach był problemowy, był bezwzględny, jak tylko młodzieniec być może. Holdował duchowi, rabunkowo gospodarował poznaniem, zmełł ziarno siewne, wydał tajemnice, podał w podejrzenie talent, zdradził sztukę — tak, podczas gdy jego utwory ufnych odbiorców bawiły, ożywiały, on, młodociany artysta, czarował dwudziestolatków swym cynizmem w stosunku do wątpliwej istoty sztuki, samego artyzmu.

Ale zdaje się, że szlachetny i dzielny duch względem niczego nie tępieje szybciej i gruntowniej niż względem ostrego i gorzkiego uroku poznania; i jest rzeczą pewną, że smętna, najsumienniejsza gruntowność młodzieńca jest płytkością w porównaniu z głęboką decyzją męża, który stał się mistrzem, aby zaprzeczyć wiedzy, odrzucić ją, odejść od niej z podniesioną głową, o ile zdolna jest w najmniejszej mierze

sparaliżować, zniechęcić, poniżyć wolę, czyn, uczucie, nawet namiętność. Jakże inaczej można by tłumaczyć sławną opowieść o *Nędzniku* niż jako wybuch wstępu do nieprzyzwoitego psychologizmu czasu, wcielonego w postać owego miękkiego i głupiego półotra, który podstępnie wabi los, rzucając z niemocy, z występności, z etycznej bezszyi żonę swą w ramiona gołowąsa, i sądzi, że wolno mu dla głębi popełniać niegodziwości. Potęga słowa, z jaką odrzucał to, co nikczemne, zapowiadała odwrót od wszelkiego moralnego powątpiewania, od wszelkiej sympatii dla przepaści, od wyrzeczenia się rozlazłej zasady litości, że wszystko zrozumieć to wszystko przebaczyć, i to, co się tu przygotowywało, ba, już dokonało, to był ów „cud odrodzonej nieśmiałości”, o której później trochę, w pewnym dialogu autora, była wyraźnie, nie bez tajemniczego zaakcentowania, mowa. Dziwne związki! Czy był to duchowy skutek tego „odrodzenia”, tej nowej powagi i surowości, że w tym samym czasie zauważono prawie nadmierne spotężnienie jego zmysłu piękna, ową szlachetną czystość, prostotę i umiar formy, które odtąd nadawały jego tworum tak namacalne, tak zamierzone piętno mistrzostwa i klasycyzmu? Ale moralna stanowczość poza wiedzą, poza analitycznym i hamującym poznaniem — czyż nie oznaczała znowu uproszczenia, moralnego zacieśnienia świata i duszy, a więc wzmocnienia w kierunku tego, co złe, zabronione, moralnie niedopuszczalne? I czyż forma nie ma dwojakiego oblicza? Czy nie jest jednocześnie moralna i niemoralna — moralna jako wynik i wyraz dyscypliny, niemoralna zaś i nawet amoralna, o ile z natury zawiera w sobie moralną obojętność, ba, stara się ugiąć moralność pod swe dumne, nieograniczone berło?

Jakkolwiek bądź, rozwój to los; i jakżeby rozwój, któremu towarzyszy zainteresowanie, masowe zaufanie szerokiej publiczności, nie miał przebiegać inaczej niż ów, który dokonywał się bez blasku i bez zobowiązań sławy? Tylko wieczna cyganeria uważa to za nudne i skłonna jest szydzić, jeśli wielki talent wyrasta z libertyńskiego manekina, przyzwyczajają się

poznać pełną wyrazu godność ducha i przybiera dworskie obyczaje samotności, która była pełna bezradnych, samotnych cierpień i walk i doprowadziła do potęgi i szacunku wśród ludzi. Ileż gry, uporów, rozkoszy jest zresztą w samokształtowaniu talentu! Coś urzędowo-wychowawczego weszło z czasem do utworów Gustawa Aschenbacha, styl jego wyżył się w późniejszych latach bezpośredniej śmiałości, subtelnych i nowych odcieni, zmieniał się we wzorową pewność, w ogładzoną tradycyjność, zachowawczość, formalność, nawet formalistyczność i, podobnie jak to według podania czynił Ludwik XIV, tak też starzejący się Aschenbach usuwał ze swego języka każde pospolite słowo. Wtedy stało się, że władze oświatowe zamieściły wybrane stronicę jego pism w podręcznikach szkolnych. Było mu to miłe i nie uchylił się, gdy jeden z książąt niemieckich, który właśnie zasiadł na tronie, przyznał twórcy *Fryderyka* w pięćdziesiątą rocznicę urodzin osobiste szlachectwo.

Po kilku latach niepokoju, kilku próbach zamieszkania tu i ówdzie, wybrał dość wcześnie Monachium na trwały pobyt i żył tam w mieszczańskim poszanowaniu, jakie wielkiemu duchowi w wyjątkowych wypadkach przypada w udziale. Małżeństwo, które jeszcze w młodym wieku zawarł z młodą dziewczyną z uczonej rodziny, rozwiązała po krótkim pożyciu śmierć. Pozostała mu córka, już zamężna. Syna nie miał nigdy.

Gustaw von Aschenbach był brunetem prawie średniego wzrostu, o twarzy gładko ogolonej. Głowa jego zdawała się nieco za duża w stosunku do prawie drobnej postaci. W tył zaczesane włosy, nieco przerzedzone na ciemieniu, na skroniach gęste i silnie przyprószone siwizną, otaczały wysokie, zmarszczone i jakby okryte bliznami czoło. Sprzęgło złotych, nieoprawnych okularów wcinało się ostro w nasadę wąskiego, szlachetnie zakrzywionego nosa. Usta miał duże, czasem obwisłe, czasem nagle wąskie i zaciśnięte, policzki chude i poorane, kształną brodę miękko rozciętą. Snadź ważne losy przeszły nad tą przeważnie na bok boleśnie przechyloną

głową i sztuka właśnie przekształciła tę fizjonomię, co bywa zazwyczaj dziełem twardego, ruchliwego życia. Za tym czołem urodziły się błyskotliwe repliki rozmowy Woltera z królem o wojnie; te oczy, znużone i głęboko patrzące przez szkła, widziały krwawe inferno lazaretów czasu Wojny Siedmioletniej. Także osobiście biorąc, jest sztuka wyższym życiem. Uszczęśliwia głębiej, trawi szybciej. Ryje w twarzy poety ślady imaginacyjnych i duchowych przygód i nawet przy klasztornej ciszy zewnętrznego bytowania wytwarza z czasem takie wydelikacenie, wysubtelnienie, znużenie i ciekawość nerwów, jakich nie zdoła wywołać życie pełne namiętnych nadużyć i rozkoszy.

Różne sprawy towarzyskiej i literackiej natury zatrzymały w Monachium chętnego do podróży jeszcze z dwa tygodnie po owej przechadzce. Poleciał w końcu doprowadzić swój domek wiejski do porządku w ciągu czterech tygodni i pojechał pewnego dnia pod koniec maja nocnym pociągami do Triestu, gdzie zabawił tylko dwadzieścia cztery godziny, a nazajutrz rano udał się statkiem do Poli.

Szukał czegoś egzotycznego i osobliwego, dokąd by jednak można się szybko dostać, więc zamieszkał na pewnej od kilku lat sławnej wyspie Adriatyku, niedaleko brzegów Istrii, z ludnością odzianą w barwne lachmany i mówiącą językiem o obcym i dziwnym brzmieniu. Malowniczo poszarpane skały spoglądały na otwarte morze. Tylko deszcz i duszne powietrze, mieszczańskie, ściśle austriackie towarzystwo hotelowe i brak spokojnej, bliższej łączności z morzem, której użyć tylko łagodna, piaszczysta plaża, odbierały mu humor, nie pozwalały uzyskać pewności, że wybrał właściwe miejsce; jakiś ciąg wewnętrzny, nie wiedział jeszcze dotąd, niepokoił go; więc studiował połączenia okrętowe, rozglądał się badawczo dokoła i nagle a zarazem najoczywistej stanął mu przed oczyma cel. Jeśli się chciało w ciągu jednej nocy wynaleźć coś nieprawdopodobnego, bajecznie niezrównanego, dokądże było jechać? Ależ to jasne. Cóż miał tu robić? Pomylił się. Tam chciał się dostać. Niezwłocznie wymówił błędnie obrane

locum. W półtora tygodnia po przybyciu na wyspę szybka łódź motorowa wiozła jego i jego bagaż w mgliste rano poprzez wodę z powrotem do portu wojennego, gdzie wysiadł na ląd tylko po to, aby przez pomost drewniany wejść na wilgotny pokład okrętu, który był już pod parą, gotów do jazdy do Wenecji.

Był to leciwy statek włoskiej narodowości, przestarzały, zardzewiały, posepny. W jaskini sztucznie oświetlonej kajuty, dokąd z nieuprzejmą grzecznością skierował Aschenbacha, zaraz po wejściu na statek, garbaty i brudny marynarz, siedział za stołem, z czapką na bakier i resztką papierosa w kącie ust, mężczyzna z kozią brodą, o wyglądzie staroświeckiego dyrektora cyrku; małpio zwinnymi ruchami fachowca zapisywał personalia podróżnych i wydawał im bilety jazdy.

— Do Wenecji! — powtórzył życzenie Aschenbacha wyciągając rękę i zanurzając pióro w mazi krzywo stojącego kałamarza. — Do Wenecji, pierwsza klasa! Do usług szanownego pana.

I wypisał wielkie kulasy, zasypał niebieskim piaskiem z puszek, który strzepnął do glinianej miseczki, złożył papier żółtymi, kościstymi palcami i zaczął pisać na nowo.

— Szczęśliwie obrany cel podróży! — gadał podczas tego. — Ach, Wenecja! To wspaniałe miasto! Miasto nieodpartego czaru dla człowieka wykształconego, z powodu historii, jak i obecnych uroków. — Gładka szybkość jego ruchów i pusta gadanina, którą im wtórował, miały coś ogłuszającego i zbijającego z tropu, jak gdyby bał się, że podróżny może zachwiać się w swej decyzji jazdy do Wenecji. Zainkasował szybko pieniądze i ze zręcznością kuriera rzucił resztę na brudne sukno stołu. — Przyjemnej zabawy, szanowny panie! — rzekł z aktorskim ukłonem. — Mam zaszczyt służyć panom! — wołał jednocześnie z podniesionymi ramionami, udając, jakby był w pełnym toku zajęcia, choć nie było nikogo więcej, kto by potrzebował jeszcze usług. Aschenbach wrócił na pokład.

Z ręką opartą na parapecie, spoglądał na próżniaczy lud, który wałęsał się po wybrzeżu oczekując odjazdu statku, i na pasażerów pokładu. Jadący drugą klasą, mężczyźni i kobiety, siedzieli w kucki z przodu pokładu na skrzyniach i tobołkach. Towarzystwo pierwszego pokładu stanowiła grupa młodych ludzi, zdaje się niższych urzędników handlowych z Polki, którzy w podnieconych humorach wybierali się na wycieczkę do Włoch. Robili wiele hałasu dokoła siebie i swego przedsięwzięcia, gadali, śmiali się, upajali własnymi gestami i przebiegnięci przez poręcz wykrzykiwali cięte słówka do swych kolegów, którzy z tekami pod pachą szli w interesach ulicą portową, grożąc wycieczkowiczom laseczkami. Jeden z nich, w jasnożółtym, wedle ostatniej mody skrojonym letnim ubraniu, w czerwonym krawacie i śmiało odgiętej panamie, górował nad wszystkimi skrzeczącym głosem i humorem. Ale gdy Aschenbach przypatrzył mu się dokładniej, przekonał się niemal z przerażeniem, że był to młodzieniec fałszywy. Był stary, nie ulegało wątpliwości. Zmarszczki otaczały jego oczy i usta. Matowy karmin policzków był szminką, brunatne włosy pod barwną wstążką otoczonym kapeluszem były peruką; jego szyja zwiędła i żyłasta, podkreślony wąsik i muszka pod dolną wargą ufarbowane; jego żółte i kompletne uzębienie, które pokazywał w uśmiechu, było tanią namiastką, a ręce z sygnetami na obu wskazujących palcach rękami starca. Pod przykrym wrażeniem patrzył Aschenbach na niego i jego zabawę z przyjaciółmi. Czyż nie wiedzieli, nie zauważyli, że jest stary, że nie słusznie nosi ich eleganckie i pstre ubranie, że niesłusznie udaje jednego z nich? Po prostu z nawyku, zdaje się, znosili go w swym kole, traktowali jak rówieśnika, odwzajemniali bez niechęci jego przekorne kuksańce. Jakże to się działo? Aschenbach przykrył czoło dłonią i zamknął oczy, które go paliły, bo spał za mało. Miał wrażenie, jakby wszystko to nie było zupełnie zwyczajne, jakby działo się dokoła niego jakieś senne udziwnienie, jakieś osobliwe zniekształcenie świata, które można by chyba powstrzymać, gdyby osłonił trochę oczy i na świeżo spojrzał

dokoła. W tej chwili jednak doznał wrażenia, że płynie, i podnosząc oczy z niedorzecznym przestrachem spostrzegł, że ciężki i ponury kadłub okrętu oddala się powoli od murowanego nabrzeża. Wśród ociężałego manewrowania rozszerzał się cał po calu brudny pas lśniącej wody między brzegiem i ścianą statku, aż wreszcie parowiec zwrócił dziób ku otwartemu morzu. Aschenbach przeszedł na prawą stronę pokładu, gdzie garbus rozłożył mu leżak, a steward w poplamionym fraku spytał go, co rozkaże.

Niebo było szare, wiatr wilgotny. Port i wyspy zostały w tyle i szybko gubił się w mglistym widnokręgu wszelki ląd. Płaty węglowego kopcia, napęczniałe wilgocią, spadały na wymyty pokład, który nie chciał wyschnąć. Już po godzinie rozpięto żaglowy dach, bo zaczęło padać.

Owinięty płaszczem, z książką na kolanach, spoczywał podróżny i godziny upływały niepostrzeżenie. Deszcz ustał; usunięto płócienny dach. Horyzont zaokrąglił się całkowicie. Pod mętną kopułą nieba rozciągała się dokoła niezmierna szyba pustego morza. Ale w próżnej, jednolitej przestrzeni brak wewnętrznemu zmysłowi także miary czasu i drzemimy w niewymierności. Podobne do cieni osobliwe postacie, stary fircyk, brodaty kozioł z wnętrza statku, snuły się z niejasnymi gestami, z mętными, sennymi słowami w umyśle spoczywającego, który zasnął.

Okolo południa zmuszono go do śniadania w podobnej do korytarza jadalni, do której prowadziły drzwi kajut i gdzie u końca stołu, na którego naczelnym miejscu jadł on, handlowcy, wraz ze starym, od dziesiątej godziny popijali z wesołym kapitanem. Posiłek był nędzny i skończył się szybko. Aschenbacha ciągnęło na powietrze, by spojrzeć na niebo: czy też nie rozjaśnia się nad Wenecją.

Myślał, że tak stać się musi, bo miasto zawsze witało go w pełnym blasku. Ale niebo i morze było mętne, ołowiane, chwilami mżył deszcz i Aschenbach pogodził się z tym, że drogą wodną dociera do innej Wenecji niż ta, którą znajdował dawniej, zbliżając się do niej lądem. Stał przy przednim

maszcie, wpatrzony w dal, oczekując łądu. Myślał o smętnej entuzjastycznym poecie, któremu niegdyś wynurzyły się z tych fal kopuły i dzwonnice jego snu, powtórzył po cichu strzępy z czci, szczęścia i smutku zrodzonych wtedy pieśni i łatwo wzruszony wcielonym już w kształt wrażeniem, badał swe poważne i znużone serce, czy może spotkać jeszcze próżnującego wędrowca nowe natchnienie i niepokój, przygoda uczucia.

Wtedy wynurzył się z prawej płaski brzeg, łodzie rybackie ożywiły morze, ukazała się wyspa z zakładem kąpielowym, parowiec opłynął ją z lewej, powolnym ruchem przesłiznął się przez wąski port nazwany jej imieniem i zatrzymał się na lagunie, naprzeciw pstrych i nędznych domów, gdzie trzeba było czekać na barkę służby sanitarnej.

Minęła godzina, zanim się zjawiła. Przyjechało się i nie przyjechało; nikomu się nie śpieszyło, a jednak wszystkich gnała niecierpliwość. Młodzi ludzie z Poli, patriotycznie pobudzeni zapewne też przez sygnały trąbek wojskowych dochodzące z okolicy ogrodów publicznych poprzez wodę, wyszli na pokład i podochoceni przez asti wznosili toasty na cześć ćwiczących się bersalierów². Ale przykro było patrzeć, do jakiego stanu doprowadziło wystrojonego starca fałszywe kumanie się z młodzieżą. Jego stary mózg nie mógł jak dzielni młodzieńcy dotrzymywać placu winu; był żałośnie pijany. Z ogłupiałym wzrokiem, z papierosem w drżących palcach chwał się, utrzymując z trudem równowagę, naprzód i w tył. Ponieważ stawiając pierwszy krok byłby runął, nie miał odwagi ruszyć się z miejsca, jednak okazywał politowania godny humor chwytając każdego, kto się doń zbliżył, za guzik, głądził, mrugał, chichotał, podnosił swój upięścieniony, pomarszczony wskazujący palec w niedorzecznym przekomarzaniu się i w obrzydliwie dwuznaczny sposób oblizywał końcem języka kąci ust. Aschenbach przypatrywał mu się

² bersalier (z włos.) — żołnierz wyborowych oddziałów piechoty armii włoskiej.

z pośepnie ściągniętymi brwiami i opanowało go uczucie zakłopotania, jak gdyby świat znów okazywał lekką i nie dającą się zahamować skłonność do dziwnej, karykaturalnej deformacji; co prawda, oddać się uczuciu temu nie pozwoliły mu okoliczności, gdyż łoskot maszyny zaczął się na nowo i statek podjął tak blisko celu przerwana jazdę przez kanał San Marco.

Więc ujrzał znowu to zdumiewające wybrzeże, ową olśniewającą kompozycję fantastycznych budowli, które republika ukazywała pełnym uszanowania spojrzeniom zbliżających się żeglarzy: lekką wspaniałość Pałacu i Most Westchnień, kolumny z lwem i świętym na brzegu, przepyszenie występujący bok bajecznej świątyni, widok na wieżę i Zegar Olbrzymów; i przyglądając się myślał, że przybyć do Wenecji łodem, na dworzec kolejowy, znaczy wejść do pałacu przez tylne drzwi i że nie inaczej, tylko okrętem, jak on teraz, przez pełne morze, należy zajechać do najnieprawdopodobniejszego z miast.

Maszyna stanęła, podpłynęły tłumnie gondole, spuszczone zwodzony pomost, urzędnicy celni weszli na pokład i załatwiali swoje czynności; lądowanie mogło się zacząć. Aschenbach dał do zrozumienia, że życzy sobie gondoli, która by zawiozła jego i jego bagaż do przystani owych małych parowców, które kursują między miastem i Lido, gdyż zamierzał wynająć mieszkanie nad morzem. Aprobując jego życzenie, podają je krzykiem w dół ku wodzie, gdzie gondolierzy klócą się w swej gwarze. Nie może jeszcze zejść, przeszkadza mu jego kufer, który właśnie z trudem spuszcza i wloką po ruchomym pomoście. Przez kilka minut nie może ująć natarczywości ohydneho starca, którego pijaństwo pobudza niejasno, by obcemu oddać honory pożegnalne.

— Życzymy szczęśliwego pobytu — bąka stary szurgając nogami. — Polecamy się łaskawej pamięci! *Au revoir, excusez i bonjour*³, ekscelencjo! — Ślini się, zamyka oczy, oblizuje

katy ust i farbowana muszka pod jego starczą wargą jeży się. — Uszanowanie — bełkoce z końcami palców przy ustach — uszanowanie kochaneczce, najmiłszemu, najśliczniejszemu ulubieniui!... — I nagle fałszywe zęby spadają mu z górnej szczęki na dolną wargę. Aschenbach zdołał uciec. — Kochaneczce, ślicznej kochaneczce — słyszy za plecami w gruchających, pustych i urywanych tonach, gdy trzymając się poręczy schodzi z pomostu.

Któż nie musiał pokonywać przelotnego dreszczu, tajemnego strachu i niepokoju, gdy po długiej niebytności miał wsiąść do weneckiej gondoli? Osobliwa ta łódź, zachowana w niezmienionym kształcie z zamierzchłych czasów i niesamowicie czarna, jak bywają tylko trumny — przypomina nieme i zbrodnicze przygody wśród pluskającej nocy, przypomina bardziej jeszcze samą śmierć, mary, pośepny obrzęd i ostatnią, milczącą podróż. I czy kto zauważył, że siedzenie w takiej barce, ten trumienno-czarny, czarno wyściełany fotel, jest najmniejszym, najrozkoszniejszym, najbardziej usypiającym siedzeniem na świecie? Aschenbach zauważył to, gdy usiadł u stóp gondoliera, naprzeciw swych pakunków leżących schludnie u dziobu. Wioślarze klócili się wciąż jeszcze, surowi, niezrozumiali, z groźnymi gestami. Ale osobliwa cisza wodnego miasta zdawała się łagodnie przyjmować, odcieślać ich słowa, rozpraszać je po falach. Było ciepło tu w porcie. Lekko owiany tchnieniem sirocca⁴, na podatnym żywiole zagłębiony w poduszkach, zamknął podróżny oczy lubujące się równie niezwykłym, jak słodkim rozleniwieniem. „Jazda będzie krótka — myślał — niechby trwała wiecznie!” W cichym kołysaniu czuł, że uchodzi tłokowi, pomieszanym głosom.

Jak cicho, coraz ciszej stawało się dokoła! Nie było nic słychać oprócz plusku wiosła, prócz pustego uderzenia fali o dziób barki, który, stromy, czarny i u szczytu zbrojny jakby

³ *au revoir, excusez i bonjour* (fr.) — do widzenia, proszę wybaczyć i powodzenia.

⁴ *sirocco* (wł.) — ciepły, suchy wiatr wiejący w krajach śródziemnomorskich i nad Morzem Śródziemnym z południa lub pld.-wschodu.

halabardą, sterzał nad wodą, i prócz czegoś trzeciego jeszcze, gwarzenia, mruczenia — szeptu gondoliera, który przez zęby, urywanie, słowami tłumionymi pracą ramion, mówił do samego siebie. Aschenbach spojrział dokoła i z lekkim zdziwieniem zauważył, że laguna rozszerzyła się i jazda brała kierunek na otwarte morze. Zdawało się przeto, że nie powinien nazbyt spoczywać, lecz uważać trochę, by spełniono jego wolę.

— Więc do przystani parowców! — rzekł, na pół odwracając się wstecz. Mruczenie ustało. Nie było odpowiedzi.

— Więc do przystani parowców! powtórzył odwracając się zupełnie i podnosząc wzrok na gondoliera, który stojąc za nim na pokładzie sterzał pod szarym niebem. Był to mężczyzna o niemiłej, ba, brutalnej fizjonomii, w marynarskim granatowym ubraniu, przepasanym żółtą szarfą i bezkształtnym słomkowym, na bakier włożonym kapeluszu, którego plecionka zaczęła się strzępić. Rysy twarzy, kręty wąs pod krótkim, zadartym nosem nie świadczyły o jego włoskim pochodzeniu. Choć był raczej szczupłej budowy ciała, tak że można było go uważać za niezbyt zdatnego do jego zawodu, władał bardzo energicznie wiosłem, nalegając na nie całym ciałem za każdym uderzeniem. Kilka razy podniósł z wysiłku wargi odsłaniając białe zęby. Ściągnawszy rude brwi spoglądał ponad gościem odpowiadając pewnym, niemal grobowym głosem:

— Pan jedzie na Lido.

Aschenbach odparł:

— Tak jest. Ale wziąłem gondolę tylko po to, by mnie przewiozła na San Marko. Chcę pojechać vaporettem.⁵

— Nie może pan pojechać vaporettem.

— I czemuż to?

— Bo vaporetto nie przewozi pakunków.

To było słuszne; Aschenbach przypomniał sobie. Milczał. Ale szorstkie, aroganckie, nie praktykowane tu wobec cudzoziemca zachowanie było nie do zniesienia. Rzekł:

— To moja rzecz. Może chcę oddać bagaż na przechowanie. Proszę zawrócić.

Cisza. Wiosło pluskało, woda uderzała gładko o dziób. I gadanie i mruczenie zaczęły się znowu; gondolier mówił przez zęby do siebie.

Co było robić? Sam na wodzie z dziwnie upartym, niesamowicie stanowczym człowiekiem, nie widział podróży sposobu postawienia na swoim. Jakżeby miękko mógł spoczywać, gdyby się nie obawiał! Czyż nie pragnął, aby jazda trwała długo, aby mogła trwać zawsze? Najmądrzej było pozostawić rzeczy ich biegowi, a co najważniejsze, tak było najprzyjemniej. Czar gnuśności zdawał się wypływać z siedzenia, z tego czarno wyściełanego fotela, kołysanego tak łagodnie od uderzeń wiosła tego samowładnego gondoliera za jego plecami. Myśl, że wpadł w ręce zbrodniarza, przemknęła sennie przez mózg Aschenbacha nie mogąc wywołać chęci do czynnej obrony. Przykra była możliwość, że wszystko jest ukartowane dla prostego wyludzenia pieniędzy. Coś jak poczucie obowiązku czy dumy, przypomnienie niejako, że trzeba temu zapobiec, zdołało go raz jeszcze poderwać. Spytał:

— Ile pan żąda za jazdę?

I nie patrząc nań, gondolier rzekł:

— Pan zapłaci.

Pewne było, co na to należało odpowiedzieć. Aschenbach rzekł:

— Nic nie zapłacę, zupełnie nic, jeśli mnie zawiezicie tam, gdzie nie chcę.

— Pan chce na Lido.

Ale nie z wami.

— Wiozę pana dobrze.

„To prawda — pomyślał Aschenbach i uczył zmęczenie. To prawda, wiesz mnie dobrze. Nawet jeśli godząc na

⁵ vaporetto (wł.) — mały statek parowy używany wówczas do przejażdżki po Canale Grande w Wenecji oraz do podróży do Lido.

moją gotówkę pošlesz mnie uderzeniem wiosła z tyłu do domostwa Hadesa, wiozłeś mnie dobrze”.

Jednak nic takiego nie zaszło. Znalazło się nawet towarzystwo, łódź z muzykalnymi włóczęgami, mężczyznami i kobietami, którzy śpiewali przy gitarach i mandolinach, jadąc natrętnie burta przy burcie, napelniając nadwodną ciszę swą chciwą zysku, obcą poezję. Aschenbach rzucił pieniądze w nastawiony kapelusz. Po czym zamilkli i odjechali. I znów dał się słyszeć szepot gondoliera, który z przerwami, od czasu do czasu, mówił do siebie.

Tak dojechali, kołysani falą po parowcu zdążającym do miasta. Dwaj urzędnicy municypalni, z rękami założonymi do tyłu, z twarzami zwróconymi ku lagunie, chodzili po wybrzeżu tam i z powrotem. Aschenbach opuścił przy kładce gondolę, podpierany przez starca, który na każdym miejscu lądowania w Wenecji czeka ze swym hakiem; a ponieważ brak mu było drobnych, przeszedł do leżącego naprzeciw pomostu hotelu, by zmienić pieniądze i wynagrodzić gondoliera wedle swego uznania. W hallu czynią zadość jego życzeniu; wraca, znajduje swój bagaż w wózku na wybrzeżu: gondola i gondolier zniknęli.

— Ulotnił się — mówi starzec z hakiem. — Zły człowiek, człowiek bez koncesji, szanowny panie. Jest to jedyny gondolier, który nie posiada koncesji. Tamci telefonowali tu. Widział, że czekają na niego. Więc się ulotnił.

Aschenbach wzruszył ramionami.

— Pan przyjechał za darmo — rzekł stary i nadstawił kapelusz. Aschenbach wrzucił pieniądza. Polecił, by bagaż odstawiono do Hotelu Kąpielowego, i poszedł za wózkiem aleją, białą kwitnącą aleją, która, między tawernami, bazarami, pensjonatami z obu stron, prowadzi przez wyspę ku wybrzeżu.

Wszedł do rozległego hotelu od tyłu, od ogrodowego tarasu, i udał się przez wielki hall do sieni, do zarządu. Ponieważ zapowiedział swe przybycie, przyjęto go z usługą uprzejmością. Zarządzający, niski, cichy, przymilnie grzeczny

człowiek z czarnym wąsem, w skrojonym z francuska surducie, zawiózł go windą na drugie piętro i wskazał mu numer, miły, sprzętami z drzewa wiśniowego umeblowany pokój, który ozdobiono silnie pachnącymi kwiatami i którego wysokie okna wychodziły na pełne morze. Podszedł do jednego z nich, gdy zarządzający wyszedł, i kiedy wniesiono za nim bagaż i umieszczono go w pokoju, patrzył na bezludną, jak zwykle w południe, plażę i bezsłoneczne morze, które w porze odpływu spokojnie i miarowo wysyłało na brzeg niskie, podłużne fale.

Spostrzeżenia i spotkania niemego samotnika są zarazem mglistsze i natarczywsze niż człowieka towarzyskiego. Jego myśli są ciężkie, dziwniejsze i mają nalot smutku. Obrazy i obserwacje, z którymi można by się załatwić jednym spojrzeniem, jednym uśmiechem, jedną wymianą zdań, zajmują go ponad miarę, pogłębiają się w milczeniu, stają się pełne znaczenia, przeżycie, przygoda, uczucie, samotność rodzą oryginalność, śmiałość i dziwne piękno, poemat. Samotność jednak rodzi też to, co opaczne, nieproporcjonalne, niedorzeczne i niedozwolone.

Więc zjawiska podróży w tę stronę — straszny stary elegant ze swym bredzeniem o kochaneczce, wyklęty, swej zapłaty pozbawiony gondolier — niepokoiły jeszcze teraz umysł podróżnego. Nie sprawiając trudności rozumowi, nie nastroczając właściwie materiału do rozmyślenia, były jednak zjawiska te bardzo odrębne z natury, jak mu się zdało, i niepokoiły właśnie przez tę sprzeczność. Tymczasem powitał oczyma morze i poczuł z radością, że ma Wenecję w tak bliskim dosięgu. Odwrócił się wreszcie, obmył twarz, wydał pokojówce kilka poleceń dotyczących uzupełnienia jego wygod i zjechał na dół z zielono ubranym szwajcarem, który obsługiwał windę.

Wypił herbatę na tarasie od strony morza, zszedł potem na dół odbył dłuższy spacer wzdłuż promenady ku hotelowi „Excelsior”. Gdy wrócił, zdawało mu się, że czas już przebrać się do kolacji. Czynił to powoli i dokładnie swoim zwyczajem.

gdyż przywykł był przy toalecie pracować; mimo to znalazł się trochę za wcześnie w hallu, gdzie zebrało się sporo gości hotelowych, obcych sobie i udających wzajemną obojętność, ale wspólnie oczekujących posiłku. Wziął ze stołu gazetę, usiadł w skórzanym fotelu i obserwował towarzystwo, które w sposób przyjemny różniło się od sosjety jego pierwszego pobytu.

Otworzył się szeroki, wiele rzeczy cierpliwie obejmujący horyzont. Mieszały się stłumione głosy światowych języków. Ogólnie przyjęty strój wieczorowy, uniform dobrego wychowania, skupiał różne zewnętrznie odmiany ludzkie w przyzwoitą całość. Widać było suchą i długą minę Amerykanina, wielogłową rodzinę rosyjską, angielskie damy, niemieckie dzieci z francuskimi bonami. Składnik słowiański zdawał się przeważać. Tuż w pobliżu mówiono po polsku.

Była to grupa na pół i ledwo dorosłych pod opieką wychowawczyni czy damy do towarzystwa, zebrana dokoła trzcinowego stolika. Trzy dziewczynki, lat piętnastu do siedemnastu, jak się zdawało, i długowłosy chłopak, może czternastoletni. Ze zdumieniem zauważył Aschenbach, że chłopak jest skończenie piękny. Twarz jego zamknięta, blada i pełna wdzięku, otoczona włosami barwy miodu, z prostolinijnym nosem, miłymi ustami, z wyrazem uroczej i boskiej powagi, przypominała rzeźby greckie z najszlachetniejszej epoki i przy czystej doskonałości formy posiadała tak niepowtarzalnie osobisty czar, że widz miał wrażenie, iż ani w naturze, ani w plastycznych sztukach nie spotkał nic równie szczęśliwie udałego. Następnie uderzał jawnie głęboki kontrast między zasadami pedagogicznymi, wedle których rođenje zdawało się być ubrane i w ogóle wychowywane. Odzienie trzech dziewcząt, z których najstarsza mogła uchodzić za dorosłą, było aż karykaturalnie surowe i niewinne. Szarawe, niemal klasztorne suknie, przydługie, proste i umyślnie niezgrabnego kroju, z białym szerokim kołnierzem jako jedyną jasną plamą, gasiły i niweczyły wszelki urok postaci.

Gładkie i mocno do głowy przyklepione włosy nadawały twarzom nic nie mówiącą pustkę mniszek. Niewątpliwie rządziła tu matka i nie pomyślała nawet o tym, aby i do chłopca zastosować pedagogiczną surowość, która zdawała się jej wskazana w stosunku do dziewcząt. Miętkość i tklliwość określały widocznie jego istnienie. Bano się tknąć nożyczkami jego pięknych włosów. Jak u „Chłopca wydobywającego cierni”^o wily się po czole, nad uszami i niżej ku karkowi. Angielski strój marynarski, którego bufiaste rękawy zwały się ku dołowi i ściśle obejmowały delikatne przeguby jego dziecinnych jeszcze, ale wąskich rąk, nadawał swym sznurami, kokardami i haftami coś delikatnego i wybrednego wateľ postaci. Siedział półprofilem do obserwatora, z jedną nogą w lakierowanym trzewiku w przód wysuniętą, jednym łokciem oparty o poręcz trzcinowego fotela, z policzkiem przytulonym do zwinętej dłoni, w postawie układnej gnuśności i bez służalczej niemal sztywności, do której zdawały się przyzwyczajone siostry. Czy był cierpiący? Gdyż skóra jego twarzy odbijała białą kości słoniowej od złocistego mroku obramiających włosów. Albo był po prostu rozpieszczonym jedynakiem, otoczonym stronniczą i kapryśną miłością? Aschenbach był skłonny tak sądzić. Prawie każdej artystycznej naturze wrodzona jest bujna i zdradziecka skłonność uznawania stwarzającej piękno niesprawiedliwości i niesienia współczucia i hołdu artystycznemu wyróżnieniu.

Kelner obchodził dokoła i oznajmiał po angielsku, że obiad podany. Stopniowo towarzystwo gubiło się za szklanymi drzwiami sali jadalnej. Maruderzy z westybulu i z wind przechodzili mimo. W sali zaczęto podawać, ale młodzi Polacy trwali jeszcze przy swym trzcinowym stole i Aschenbach, schowany wygodnie w głębokim fotelu i wpatrzony w piękno, czekał z nimi.

^o „Chłopiec wyciągający cierni z nogi” — brąz z początku V w. n.e., dziś w Palazzo dei Conservatori w Rzymie.

Guwernantka, niska, korpulentna poldama o czerwonej twarzy, dała wreszcie znak powstania. Z wysoko podniesionymi brwiami odsunęła w tył krzesło i skłoniła się, gdy wysoka pani w szarobiałej sukni, bogato ozdobiona perłami, weszła do hallu. Postawa tej kobiety była chłodna i powściągliwa, układ jej upudrowanych włosów jak i krój jej sukni nacechowane ową prostotą, która decyduje o smaku wszędzie tam, gdzie pobożność uchodzi za składnik dostojności. Mogła być żoną wysokiego niemieckiego urzędnika. Coś fantastycznie zbytkowego nadawały jej wyglądowi jedynie klejnoty, które naprawdę były bezcenne i składały się z kolczyków i potrójnego, bardzo długiego sznura wielkich jak czereśnie, łagodnie lśniących pereł.

Rodzeństwo powstało natychmiast. Skłonili się całując rękę matki, która z powściągliwym uśmiechem swej wypielegnowanej, lecz nieco zmęczonej twarzy o szpiczastym nosie zwróciła ponad ich głowami kilka francuskich słów do wychowawczyni. Potem ruszyła ku szklanym drzwiom. Dzieci poszły za nią. Dziewczęta w kolejności wieku, za nimi guwernantka, wreszcie chłopiec. Z jakiegoś powodu odwrócił się, zanim przestąpił próg, i ponieważ już nikogo nie było w hallu, jego przedziwne, szare jak zmierzch oczy spotkały się z oczami Aschenbacha, który z gazetą na kolanach, pogrążony w kontemplacji, ścigał wzrokiem gromadkę.

To co ujrzał, nie było z pewnością w szczegółach osobliwe. Dzieci nie siadały przed matką do stołu, czekały na nią, przywitały ją z czcią i przy wejściu do sali przestrzegały przyjętych form. Ale wszystko to odbywało się tak dokładnie, z takim akcentowaniem karności, obowiązku i szacunku dla siebie, że Aschenbach czuł się dziwnie wzruszony. Zwlekał jeszcze chwil kilka, potem przeszedł również do sali jadalnej i kazał sobie wskazać swój stolik, który, jak stwierdził z przelotnym uczuciem żalu, znajdował się bardzo daleko od polskiej rodziny.

Znużony, a jednak duchowo podniecony, zabawiał się podczas nudnego obiadu abstrakcyjnymi, ba, transcenden-

talnymi sprawami, rozmyślał o tajemniczym związku, jaki musi zachodzić między prawidłowością a indywidualnością, aby powstała ludzka piękność, przeszedł stąd do ogólnych problemów formy i sztuki i stwierdził na końcu, że jego myśli i odkrycia podobne były do pozornie szczęśliwych sugestii snu, które po otrzeźwieniu okazują się puste i bez wartości. Po obiedzie palił, siedział, przechadzał się w pachnącym wieczorną porą parku, poszedł wcześniej spać i spędził noc w długim i spokojnym, ale ożywionym rozmaitymi rojeniami śnie.

Nazajutrz pogoda nie zapowiadała się pomyślniej. Wiatr wiał od łądu. Pod szarym niebem morze leżało w głuchym spokoju, jakby zmarszczone, z bezbarwnym horyzontem i tak daleko cofnięte, że odsłoniło kilka szeregów długich ławic wydm piaskowych. Gdy Aschenbach otworzył okno, zdało mu się, że czuje zgniły zapach laguny?

Opadł go smutek. Już w tej chwili myślał o odjeździe. Raz przed laty, po pogodnych tygodniach wiosennych, nawiedziła go taka aura i tak szkodliwie zaciążyła na jego samopoczuciu, że musiał opuścić Wenecję jak zbieg. Czyż nie opadła go znów febryczna niechęć z owych czasów, ucisk w skroniach, ciężenie powiek? Jeszcze raz zmienić miejsce pobytu byłoby trudno; ale jeśli wiatr się nie zmieni, to nie pozostanie tu za nic. Dla pewności nie rozpakował się całkowicie. O dziewiątej zjadł śniadanie w przeznaczonym na to pokoju bufetowym między hallem i jadalnym.

W pokoju tym panowała uroczyście cisza, która należy do ambicji wielkich hoteli. Usługujący kelnerzy chodzili na palcach. Szczekanie przyborów do herbaty, szeptem wypowiedziane słowo to wszystko, co można było słyszeć. W kącie, na wskos od drzwi i o dwa stoliki dalej, zauważył Aschenbach polskie dziewczęta z wychowawczynią. Bardzo wyprostowane, z popielatymi włosami świeżo przygładzonymi, z zaczerwienionymi oczami, w sztywnych, niebieskich lnianych

¹ laguna (włos.) – płytki zalew lub zatoka odcięta od morza nasypami.

sukniach z małymi, białymi, opadającymi kołnierzami i mankietami, siedziały i podawały sobie szklane naczynie z konfiturami. Skończyły niemal śniadanie. Chłopca nie było.

Aschenbach uśmiechnął się. „Tak, mały Feaku! — pomyślał. — Zdaje się, że korzystasz z przywileju wysypiania się do woli”. I nagle rozweselony, zacytował wiersz:

Często zmieniane ozdoby i ciepłe kąpiele, i spokój⁸.

Zjadł śniadanie bez pośpiechu, wziął z ręki portiera, który zdjawszy czapkę z galonami wszedł do sali, wysłaną za nim pocztę i paląc papierosa otworzył kilka listów. Toteż doczekał się wejścia śpiocha, którego czekano w sali jadalnej.

Wszedł szklanymi drzwiami i kroczył wśród ciszy przez pokój ku stołowi sióstr. Chód jego w pozycji górnej części ciała jak też w ruchach kolan, w stawianiu białej obutej stopy, był pełen niezwykłego wdzięku, bardzo lekki, zarazem delikatny i dumny, i upiękuszony jeszcze przez dziecienną wstydliwość, z jaką chłopak, dwukrotnie po drodze zwracając wzrok ku sali, podniósł i spuścił oczy. Uśmiechając się, mówiąc coś półgłosem w swym miękkim, niewyraźnym języku, siadł na swym miejscu i teraz właśnie, gdy zwrócił się wyraźnym profilem ku patrzącemu, ten zdumiał się znowu, ba, przestraszył się na widok prawdziwie boskiej piękności tego człowieczego dziecka. Chłopak miał dziś na sobie lekkie ubranie z płótna w białe i niebieskie paski, czerwoną, jedwabną kokardę na piersi i stojący, prosty, biały kołnierz na szyi. Na tym kołnierzu zaś, który niezbyt elegancko zestrajał się z charakterem ubrania, spoczywał kwiat głowy o niezrównanym uroku — głowa Erosa z żółtawym błyskiem paryjskiego marmuru, z cienkimi i poważnymi brwiami, ze

skroniami i uszyna pokrytymi pierścieniami ciemnych i miękkich włosów.

„Dobrze, dobrze! — pomyślał Aschenbach z owym śmiałym uznaniem fachowca, z jakim artyści zwykle wyrażają swój podziw i zachwyt wobec arcydzieła. I dalej myślał: — Naprawdę, gdyby nie oczekiwało mnie morze i plaża, zostałbym tu, dopóki ty tu jesteś!” Ale wyszedł wśród ukłonów personelu przez hall, wielki taras, wprost przez deskami wykładany chodnik do zamkniętej plaży gości hotelowych. Bosemu starcowi w płóciennych spodniach, marynarskiej bluzie i słomkowym kapeluszu, zajętemu tam jako kąpielowy, kazał pokazać sobie wynajętą kabinę, poleciał stół i fotele, wystawił na z desek zbitą platformę i rozłożył się na leżaku, który przeciągnął bliżej ku morzu, na woskowożółty piasek.

Plaża, ten widok kultury rozkoszującej się w zmysłowej beztrosce na brzegu żywiołu, bawiła i radowała go jak zawsze. Szare, płytkie morze ożywiło się brodzącymi dziećmi, pływakami, pstrymi postaciami, które z rękami podłożonymi pod głowę leżały na ławicach piaskowych. Inni wiosłowali w małych czerwono i niebiesko lakierowanych łodziach bez kilerów i wywracali się ze śmiechem. Przed wydłużonym rzędem budek, na których platformach siedziano jak na małych werandach, panował pełen zabawy ruch lub leniwy spoczynek, odwiedziny i pogawędki, wytworna ranna elegancja i nagość, która zażywała zuchwale wygodnej miejscowej swobody. Z przodu, na mokrym i twardym piasku, przechadzali się pojedynczo goście w białych płaszczach kąpielowych w obszernych strojach plażowych o mocnych barwach. Kunstowny zamek z piasku po prawej, zbudowany przez dzieci, otoczony był małymi chorągiewkami w kolorach wszystkich krajów. Sprzedawcy muszli, obarząnków i owoców rozkładali klęcząc swój towar. Po lewej, przed jedną z budek, które stały prostopadle do innych i do morza i z tej strony stanowiły zakończenie plaży, obozowała jakaś rosyjska rodzina: mężczyźni z brodami i wielkimi zębami, tłuste i leniwe kobiety, jakaś bałtycka panna, która siedząc przy sztalugach wśród

⁸ Tak, mały Feaku - skojarzenie z *Odyseją* (ks. 8, 244), w której Alkinoos mówi Odysceuszowi, że Feacy nie szukają sławy w zapasach, ale kochają się „W zmianie nastroju, toż w łażniach i wypoczywaniu” (tłum. L. Siemieńskiego).

okrzyków rozpaczy malowała morze, dwoje dobrotliwych, brzydkich dzieci, stara sługa w chustce na głowie, z czule poddańczymi manierami niewolnicy. Rozkoszując się z wdzięcznością bytowali tam, wywoływali nieznużenie imiona niegrzecznie harcujących dzieci, długo żartowali za pomocą nielicznych włoskich słów ze starcem, od którego kupowali słodczyce, całowali się wzajemnie w policzki nie dbając o obserwatorów ich ludzkiej gromady.

„Więc zostanę” — myślał Aschenbach. — Gdzież by było lepiej?” I z rękoma złożonymi na kolanach błdził w dalekościach morza oczami, których spojrzenie ślizgało się, rozplýwało, ginęło w monotonnym oparze pustynnego przestworu. Kochał morze z głębokich powodów: z żądzę spoczynku ciężko pracującego artysty, który przed wymagającą wielokształtnością zjawisk pragnie się ukryć na łonie prostoty, ogromu; z zakazanej, właśnie jego zdaniu przeciwej i dlatego też kuszącej skłonności do chaosu, bezmiaru, wieczności, do nicości. Szukanie spoczynku w doskonałości jest tęsknotą tego, który zabiega o nią, a czyż nicość nie jest formą doskonałości? Gdy jednak tak głęboko pogrążał się w pustce, nagle horyzontalną linię plaży przecięła postać ludzka i kiedy wycofał swe spojrzenie z bezgranicza i skupił je, wtedy nadchodząc z lewej piękny chłopiec przeszedł przed nim po piasku. Był boso, gotów do brodzenia, z smukłymi nogami obnażonymi powyżej kolan, ale tak lekki i dumny, jakby był zupełnie przyzwyczajony do chodzenia bez obuwia, i oglądał się na w poprzek stojące budki. Ledwo jednak spostrzegł rosyjską rodzinę, która tam przebywała w zadowolonej zgodzie, gdy chmura gniewnej pogardy okryła jego twarz. Czoło jego sposepniało, usta podniosły się, wargi przekrzywiły się gorzko na jedną stronę wypaczając policzek i brwi zmarszczyły się tak głęboko, że pod ich naciskiem oczy się wgłębiły i zaciemnione gniewem błysnęły nienawiścią. Spojrzał ku ziemi, obejrzał się jeszcze raz groźnie i, wzruszywszy gwałtownie ramionami gestem pogardy, pozostawił wrogów za sobą.

Coś jak czułość i przestach, coś jak szacunek i zawstydylenie sprawiło, że Aschenbach odwrócił się, jak gdyby nic nie widział; gdyż poważnemu przypadkowemu obserwatorowi namietności nie godzi się robić ze swych spostrzeżeń użytku choćby dla siebie samego. Był jednak rozbawiony i wstrząśnięty zarazem, to jest: uszczęśliwiony. Ten dziecinny fanatyzm, zwrócony przeciw najdobrodusznieszem obrazowi życia, wnosił boską niewyraźność w ludzkie stosunki, czynił drogocenny twór natury, który służył tylko dla rozkoszy oczu, godnym głębszego współczucia i nadawał postać wyrostka, wyróżniającej się już i tak pięknnością, podkład, który pozwalał brać go poważnie ponad jego wiek.

Jeszcze odwrócony, słuchał Aschenbach głosu chłopca: czystego, nieco słabego głosu, który z daleka już przesyłał pozdrowienie zajęтым zamkami z piasku towarzyszom zabawy. Odpowiedziano mu wywołując kilkakrotnie jego imię czyszczeniem imienia i Aschenbach nasłuchiwał z pewnym zaciekawieniem, nie mogąc nic dokładniej pochwycić prócz dwóch melodyjnych zgłosek, coś jakby „Adgio” lub częściej „Adgiu”, z wołającym wydłużonym „u” na końcu. Radował się go ten dźwięk, uważał, że miłe brzmienie jego odpowiada przedmiotowi, powtarzał je po cichu i zadowolony wrócił do swych listów i papierów.

Z małą teczka podróżną na kolanach zaczął wiecznym piórem załatwiać korespondencję. Ale po kwadransie uznał, że szkoda zaniedbywać najrozkoszniejszą, jaką znał, sytuację i marnować ją dla obojętnej czynności. Odrzucił tekę, wrócił do morza; i niedługo, nęcony głosami młodzieży przy budowie zamków z piasku, odwrócił wygodnie na poręcz leżaka głowę w prawo, aby zobaczyć, co porabia wspaniały Adgio.

Za pierwszym spojrzeniem znalazł go, czerwonej kokardki na piersi nie można było nie zauważyć. Zajęty z innym przerzucaniem starej deski jako mostu przez wilgotną fosę zamku z piasku, dawał wskazówki do tej roboty wołając i kiwając głową. Było z nim około dziesięciu towarzyszy.

chłopców i dziewcząt w jego wieku i młodszych, którzy w języku polskim i francuskim oraz w narzeczach bałkańskich gadali jedno przez drugie. Ale jego imię słyhać było najczęściej. Widocznie lubiono go, wrywano sobie, podziwiano. Jeden zwłaszcza, Polak jak on, rosły chłopak, którego wołano jakby „Jasiu”, z czarnymi, wypomadowanymi włosami, w płóciennym ubraniu z paskiem, zdawał się być jego najbliższym wasalem i przyjacielem. Gdy tym razem robota około zamku była skończona, poszli obejmując się ramionami wzdłuż plaży i ten, którego wołano „Jasiu”, pocałował pięknego.

Aschenbach miał ochotę pogrozić mu palcem. „Tobie jednak radzę, Kritobulosie — myślał z uśmiechem — wyjedź na rok w podróż. Bo najmniej tyle potrzeba ci do wyzdrowienia”. Potem jadł na śniadanie wielkie, dojrzałe poziomki, które nabył od przekupnia. Zrobiło się bardzo ciepło, choć słońce nie mogło przebić omglonego nieba. Lenistwo pętało ducha, choć zmysły używały bezgranicznej, i oszołamiącej rozkoszy ciszy morskiej. Odgadnięcie, zbadanie, co to za imię brzmiało, jak gdyby „Adgio”, zdawało się poważnemu człowiekowi stosownym, całkowicie absorbującym zadaniem i zajęciem. I z pomocą kilku polskich wspomnień ustalił, że miało to być „Tadzio”, skrót „Tadeusza”, brzmiący w wołacz „Tadziu”.

Tadzio kąpał się. Aschenbach, który stracił go z oczu, odnalazł jego głowę, jego ramię, którym wiosłował daleko na morzu, bo morze było płaskie jak okiem sięgnąć. Ale już niepokojono się o niego, już wołały go głosy kobiece z budek, wykrzykiwały znów to imię, które unosiło się nad plażą jak hasło i w swoich miękkich spółgłoskach, w swoim przewlekłym „u” na końcu miało zarazem coś słodkiego i dzikiego: „Tadziu! Tadziu!” Zawrócił, biegł przez fale, ubijając nogami oporną wodę na pianę, z głową w tył podaną; warto było widzieć, jak pełna życia postać, młodzieńczo powabna i nie-dojrzała, z ociekającymi lokami i piękna jak delikatny bóg, nadchodząc z głębin nieba i morza wynurzała się i uciekała

z żywiołu: widok ten nasuwał mityczne obrazy, by jak zwiastowanie poetów o pierwotnych czasach, o początku formy i narodzinach bogów. Aschenbach słuchał z zamkniętymi oczami dźwięczącego w jego wnętrzu śpiewu i znowu myślał, że jest mu dobrze i że tu zostanie.

Potem, odpoczywając po kąpieli, leżał Tadzio na piasku owinięty w białe prześcieradło, przeciągnięte pod jego prawym barkiem, opierając głowę na gołym ramieniu; i nawet gdy Aschenbach nań nie patrzył, tylko przerzucał kartki swej książki, nie zapominał ani na chwilę, że chłopak tam leży i że trzeba tylko lekko odwrócić głowę na prawo, by zobaczyć ten podziwu godny obraz. Zdawało mu się niemal, że siedzi tu, aby chronić spoczywającego — zajęty własnymi sprawami, a jednak przy tym w ustawicznej czujności względem szlachetnego tworu ludzkiego tam, z prawej strony, niedaleko od niego. I poruszała go i napępiała mu serce ojcowska czułość, oddana tkliwość tego, który ofiarnie w duchu tworzy piękno wobec tego, który piękność posiada.

Po południu opuścił plażę, wrócił do hotelu i kazał sobie zawieźć windą na górę. W pokoju swym zabawił dłużej przed lustrem i przyglądał się swym siwym włosom, znużonej i ostrej twarzy. W tej chwili myślał o swej sławie i o tym, że wielu na ulicach go znało i patrzyło nań z szacunkiem dla jego niewątpliwie trafnych i wdziękiem uwieńczonych słów wywoływał wszystkie zewnętrzne tryumfy swego talentu, jakie mu przysły na myśl, i przypominał sobie nawet swoje szlachectwo. Potem zszedł do sali na lunch i jadł przy swoim stoliku. Gdy po skończonym posiłku wszedł do windy, młody ludek, który również wracał z jadalni, tłoczył się za nim do ruchomej klatki i Tadzio wszedł także. Stał tuż przy Aschenbachu, pierwszy raz tak blisko, że ten widział i poznał go nie jak z odległego obrazu, lecz dokładnie, z ludzkimi szczegółami. Ktoś przemówił do chłopca i ten, odpowiedziawszy z nieopisanie miłym uśmiechem, natychmiast cofając się, wyszedł na pierwszym piętrze ze spuszczonej oczami. „Piękność zawstydyła” — pomyślał Aschenbach i zastanowił się

głęboko, czemu. Zauważył jednak, że zęby Tadzia nie były w pocieszającym stanie: trochę spiczaste i blade, bez zdrowego połysku, dziwnie przezroczyste i kruche, jak u niedokrwionych. „Jest bardzo delikatny, jest chorowity — pomyślał Aschenbach. — Prawdopodobnie niedługo pożyje”. I nie chciał zdać sobie sprawy z uczucia zadowolenia i uspokojenia, jakie towarzyszyło tej myśli.

Spędził dwie godziny w swym pokoju i po południu pojechał vaporettem przez zgnilizną pachnące laguny do Wenecji. Wysiadł przy San Marco, wypił herbatę na placu i odbył potem, wedle tutejszego rozkładu dnia, przechadzkę po ulicach. Spacer ten jednak spowodził zupełną zmianę w jego nastroju, w jego postanowieniach.

Wnętrze prądu było na ulicach, powietrze było tak gęste, że zapachy płynące z mieszkań, sklepów, jadłodajni, wyziewy oliwy, chmury perfum i tym podobne tworzyły nieruchome, nie rozpraszające się warstwy. Dym z papierosa wisiał w jednym miejscu, ustępując powoli. Ruch tłumu w ciasnocie przeszkadzał tylko przechadzającemu się, zamiast go bawić. Im dłużej siedł, tym przykrzej owładał nim ohydny stan, który wywołać może powietrze morskie razem z sirocco i który jest zarazem podnieceniem i słabością. Oblał go gęsty pot. Oczy odmówiły posłuszeństwa, czuł ucisk w piersiach i gorączkę, krew tętniła w głowie. Uciekł z natłoczonych ulic handlowych przez most ku uliczkom ubogich. Tam opadli go żebracy i przykre wyziewy kanałów tamowały oddech. Na cichym placu, jednym z owych zapomnianych, czarownych miejsc, które znajdują się w sercu Wenecji, spoczywając na brzegu studni otarł czoło i zrozumiał, że musi wyjechać.

Po raz drugi i teraz ostatecznie okazało się, że miasto to przy tej pogodzie jest dlań w najwyższym stopniu szkodliwe. Uparte siedzenie tu zdawało się nierozsądne, widoki na zmianę pogody były zupełnie niepewne. Trzeba było szybkiej decyzji. Już teraz wracać do domu nie było wskazane. Ani mieszkanie letnie, ani zimowe nie było przysposobione do przyjęcia go. Ale nie tylko tu znajdowało się morze i plaża,

istniały i gdzie indziej bez tego szkodliwego dodatku laguny i jej febrycznych wyziewów. Przypomniał sobie małe kąpielisko morskie w pobliżu Triestu, które mu zachwalano. Czemużby nie tam? I to bez zwłoki, aby ponowna zmiana miejsca pobytu się opłacała. Był zdecydowany i wstał. Na najbliższym postoju gondol wziął łódź i kazał się wieźć na San Marco przez posępny labirynt kanałów, pod wytwornymi marmurowymi balkonami z lwami po obu stronach, dokoła oślizłych węglów, mimo żałobnych fasad pałaców, które w falującej wodzie odzwierciedlały wielkie szyldy firm. Z trudem tam dotarł, gdyż gondolier, który był na usługach fabryk koronek i szkła, starał się wszędzie wysadzać go dla zwiedzania i zakupów, i gdy dziwaczna jazda przez Wenecję zaczynała wywierać swój czar, handlowy ten okpiświat, duch kupiecki upadłej królowej, przykro trzeźwił zmysły.

Wróciwszy do hotelu, oznajmił jeszcze przed obiadem w biurze, że z powodu nieprzewidzianych okoliczności musi jutro rano wyjechać. Wyrażano żal, pokwitowano jego rachunek. Zjadł obiad i spędził ciepły wieczór, czytając dzienniki w bujającym fotelu na tylnym tarasie. Zanim udał się na spoczynek, spakował się zupełnie do wyjazdu.

Nie spał dobrze, bo niepokoiła go czekająca wyprawa. Gdy rano otworzył okna, niebo było pochmurne, ale powietrze zdawało się chłodniejsze — i zaczął już żałować. Czy wymówienie nie było przedwczesne, czy nie było błędem, skutkiem chorobliwego, nienormalnego stanu? Gdyby się był trochę wstrzymał, nie zniechęcając się spróbował przystosować się do weneckiego powietrza i poczekał na zmianę pogody, to zamiast śpieszyć się na łeb i na szyję miałby przedpołudnie na plaży jak wczoraj. Za późno. Teraz musiał wyjechać, chcieć tego, czego chciał wczoraj. Ubrał się i o ósmej zjechał na śniadanie do parterowych sal.

Pokój bufetowy był, gdy wszedł, pusty. Poszczególni goście wchodzili, gdy siedział czekając na to, co zamówił. Z filiżanką przy ustach patrzył na polskie dziewczęta pojawiające się u boku towarzyszek: surowe i wypoczęte, kroczyły ku swemu

stolikowi w kącie pod oknem. Niebawem ukazał się portier z czapką w ręce, oznajmiając czas. Automobil stoi gotów, aby jego i innych podróżnych zawieźć do hotelu „Excelsior”, skąd motorówka zabierze ich przez prywatny kanał na dworzec. Czas nagli. Aschenbach uznał, że tak nie jest. Do odjazdu pociągu pozostała przeszło godzina. Gniewał się na zwyczaj hotelowy wypędzania podróżnych przedwcześnie z domu i oświadczył portierowi, że chce w spokoju spożyć śniadanie. Człowiek ten wycofał się powoli, by zjawić się znów po pięciu minutach. Nie sposób, by wóz dłużej czekał. W takim razie niech jedzie i zabierze jego kufer, odparł Aschenbach podrażniony. On sam we właściwym czasie pojedzie publicznym parowcem i prosi, by troskę o wyjazd pozostawiono jemu samemu. Portier skłonił się. Aschenbach kontent, że pozbył się natrętnych uwag, skończył przekąskę bez pośpiechu, kazał nawet kelnerowi podać sobie gazetę. Czasu zostało już niewiele, gdy wreszcie wstał. Zdarzyło się, że w tejże chwili przez szklane drzwi wszedł Tadzio.

Idąc ku stołowi swoich, przeciął drogę odchodzącemu, spuścił przed siwym, wysokoczołym panem skromnie oczy, by je w swój miły sposób miękko i otwarcie podnieść ku niemu, i przeszedł: „Żegnaj, Taziu! — pomyślał Aschenbach. — Widziałem cię krótko”. I wymawiając wbrew zwyczajowi swą myśl szeptem, poruszając wargami, dodał: — Bądź błogosławiony! — Potem zebrał się do wyjazdu, rozdał napiwki i żegnany przez malego, cichego zarządcę w francuskim surducie, opuścił hotel piechotą, jak przyszedł, aby poprzędzając nosącego ręczną walizę sługę udać się białą kwitnącą aleją przez wyspę do przystani parowców. Doszedł, zajął miejsce — i to, co nastąpiło, było smutną pielgrzymką przez wszystkie głębiny żalu.

Była to znana droga przez lagunę, mimo San Marco, ku Wielkiemu Kanałowi. Aschenbach siedział na okrągłej ławce przy dziobie, z ręką wspartą o poręcz, oceniając dłonią oczy. Publiczne ogrody pozostały w tyle, Piazzetta otwarła się raz jeszcze w księżącym powabie i znikła, ukazała się wielka

amfilada pałaców i gdy kanał skręcił, zjawił się wspaniale rozpięty, marmurowy łuk Rialta. Podróżny patrzył i serce miał rozdarte. Atmosferę miasta, ten lekko zgniły zapach morza i bagna, od którego tak spiesźnie uciekał, wdychał teraz głębokimi, tkliwie bolesnymi haustami. Byłoż możliwe, że nie wiedział, że nie zastanowił się, jak bardzo serce jego lgnęło do tego wszystkiego? To, co dziś rano było cichym ubolewaniem, lekkim powątpiewaniem o słuszności swego postępowania, stało się teraz zgryzotą, rzeczywistą boleścią, niedolą duchową tak gorzką, że kilkakrotnie napędzała mu łzy do oczu, i o której powiadał sobie, że nie mógł jej żadną miarą przewidzieć. To, co odczuwał jako tak trudne do zniesienia, niekiedy zgola nie do wytrzymania, to po prostu myśl, że nie ma nigdy już ujrzeć Wenecji, że jest to pożegnanie na zawsze. Bo kiedy okazało się po raz drugi, że miasto przyprawia go o chorobę, że musi je po raz drugi na gwałt opuścić, musiał je odtąd uważać za niemożliwe dla niego i zakazane miejsce pobytu, któremu nie sprostął i które znów odwiedzić byłoby niedorzecznością. Tak, czuł, że jeśli teraz wyjedzie, wstyd i upór przeszkodzą mu zobaczyć kiedykolwiek ukochane miasto, przed którym już dwa razy boleśnie kapitulował, i ta walka między duchowym umiłowaniem a wytrzymałością cielesną wydała się naraz starzejącemu się tak ciężka i ważna, a fizyczna klęska tak haniebna, tak za wszelką cenę niedopuszczalna, że nie mógł pojąć uległości, z jaką wczoraj bez poważnej walki postanowił ją uznać.

Tymczasem parowiec zbliża się do dworca i ból oraz bezradność urastają w zamęt. Wyjazd wydaje się udręczone-mu niemożliwością, odwrót nie mniejszą. Tak, zupełnie rozdwojony, wchodzi na stację. Jest już bardzo późno, nie ma chwili do stracenia, jeśli chce zdążyć na pociąg. Chce tego i nie chce. Ale czas nagli, popędza go; podróżny śpieszy, by kupić bilet, i ogląda się w zgiełku hali za urzędnikiem Towarzystwa Hotelowego. Człowiek ten znajduje się i oznajmia, że kufer już nadany. Już nadany? Tak, do usług — do Como. Do Como? I z szybkiej wymiany słów, po gniewnych

pytaniach i zakłopotanych odpowiedziach okazuje się, że kufer już w biurze transportowym hotelu „Excelsior”, wraz z innymi, cudzymi bagażami, wysłany został w zupełnie fałszywym kierunku.

Aschenbach z trudem zachował minę, jedyną, która w tych okolicznościach była zrozumiała. Awanturnicza radość, nieprawdopodobna wesołość wstrząsnęły niemal spazmatycznie jego wnętrzem. Urzędnik pognął z miejsca, by o ile to możliwe, zatrzymać jeszcze kufer, i wrócił, jak należało było oczekiwać, z niczym. Wtedy Aschenbach oświadczył, że bez kufra nie pojedzie, tylko wróci i zdecydowany jest czekać na odesłanie bagażu w Hotelu Kąpielowym. Czy motorówka Towarzystwa jest przy dworcu? Urzędnik zapewnił, że czeka u wejścia. Skłonił we włoskiej gwarze kasjera do przyjęcia z powrotem wykupionego biletu, przysiągł, że zadepeszuje się, że niczego się nie omieszka i nie zaniedba, by odzyskać wkrótce kufer, i — stała się rzecz dziwna, że podróżny w dwadzieścia minut po przybyciu na dworzec znów wracał Wielkim Kanałem na Lido.

Dziwnie nieprawdopodobna, zawstydzająca, komicznie bałaniowa przygoda: miejsca, które dopiero co pożegnało się na zawsze w najgłębszym smutku, przez zmianę i chytrą losu oglądać znowu w tej samej godzinie! Z pianą u dzioba, lawirując z zabawną zręcznością wśród gondol i parowców, zmknęła mała, chyż łódź do swego celu, podczas gdy jedyny pasażer pod maską gniewnej rezygnacji krył lękliwie niewolne wzruszenie zbiegłego chłopca. Wciąż jeszcze, od czasu do czasu, piersią jego wstrząsał śmiech z powodu tego nieszczęścia, które, jak mówił sobie, nie mogło milej nawieźć urodzonego w czepku. Trzeba było udzielać wyjaśnień, zmieszać zdumione miny — potem, tak mówił sobie, wszystko było znów dobrze, uniknęło się nieszczęścia, naprawiło ciężki błąd i wszystko, co, zdawało się, pozostawił za sobą, otworzyło się przed nim znowu, należało znowu do niego, dopomagać zechce... Czy zresztą ludziła go szybka jazda, czy też rzeczywiście wiało już od morza?

Fale biły o betonowe ściany wąskiego kanału, który przez wyspę wiedzie do hotelu „Excelsior”. Czekał tam na wracającego autobus i zawiózł go nad marszczącym się morzem prostą drogą do Hotelu Kąpielowego. Mały, wąsaty zarządca w ogonistym surducie zszedł dla powitania zewnętrznymi schodami.

Z cichą przymilnością wyraził ubolewanie z powodu zaszłego zdarzenia, nazwał je zresztą przykrym dla niego i dla instytucji, zaaprobował jednak z przekonaniem decyzję Aschenbacha czekania tu na kufer. Oczywiście pokój jego został wynajęty, inny jednak, nie gorszy, jest do natychmiastowego rozporządzenia.

*Pas de chance, monsieur*⁹ — rzekł szwajcar-windziarz z uśmiechem, gdy sunęli w górę.

I tak został zbieg zakwaterowany w pokoju zupełnie podobnym z położenia i urządzenia do poprzedniego.

Zmęczony, ogłuszony wirem tego dziwnego przedpołudnia, usiadł, rozłożywszy zawartość swej torby podróżnej, w fotelu przy oknie. Morze przybierało bladozielony odcień, powietrze zdawało się lżejsze i czystsze, plaża ze swymi budkami i łodziami barwniejsza, choć niebo było jeszcze szare.

Aschenbach patrzył na świat, z rękami na kolanach, zadowolony, że znów jest tutaj, kiwając z niezadowolaniem głową z powodu swej chwiejności, nieświadomości własnych pragnień. Siedział tak godzinę, odpoczywając i bezmyślnie marząc. Około południa ujrzał Tadzia, który w płóciennym ubraniu w paski, z czerwoną kokardą, minawszy barierę, chodnikiem z desek wracał do hotelu. Aschenbach poznał go z swej wyżyny natychmiast, zanim właściwie ujął go okiem, i chciał coś pomyśleć, jakby: „Patrz, Tadzio, więc jesteś i ty znowu!” Ale w tej samej chwili uczuł, że niedbale pozdrowienie przed prawdą jego serca pada i milknie — uczuł poryw swej krwi, radość, ból swej duszy i poznał, że to z powodu Tadzia pożegnanie było tak trudne.

⁹ *pas de chance, monsieur* — bez szans, panie.

Siedział zupełnie spokojnie, zupełnie niewidoczny na swym wysokim miejscu, i spoglądał w siebie. Jego rysy obudziły się, brwi się podniosły, uważny, ciekawie przemyślny uśmiech ożywił usta. Potem podniósł głowę i obiema rękami, zwisającymi bezwładnie przez poręczce fotela, zakreślił powoli okrężny, unoszący ruch, z naprzód zwróconymi dłońmi, jakby zaznaczał otwarcie i rozpostarcie ramion. Był to powitalny, spokojnie przyjmujący gest.

Teraz dzień po dniu nagi bóg o gorących licach kierował płomienną kwadrygę przez przestworza niebios i jego płowe loki trzepotały jednocześnie w porywistym wietrze wschodnim. Białawo-jedwabisty połysk powlekał dale leniwo falującego morza. Piasek palił. Pod srebrzyście drgającym błękitem eteru rozpięte były rdzawe zasłony z żaglowego płótna przed budkami plażowymi i na ostro ograniczonej plamie cienia, który rzucały, spędzało się przedpołudniowe godziny. Ale rozkoszny był i wieczór, gdy rośliny parku pachniały balsamicznie, gwiazdy w górze wiodły swe tany i pomruk nocnego morza dochodził cicho kusząc duszę. Taki wieczór niósł z sobą zapowiedź nowego słonecznego dnia, swobodnego wczasu, urozmaiconego niezliczonymi, gęsto nanizanymi możliwościami miłego przypadku.

Gość, którego zatrzymało tu tak poręczne nieszczeście, był bardzo daleko od tego, by w odzyskaniu swej własności widzieć powód do ponownego wyjazdu. Musiał przez dwa dni znosić pewne braki i przy posiłkach w wielkiej sali jadalnej zjawiać się w podróznym ubraniu. Potem, gdy zabłąkany kufer ustawiono wreszcie znów w jego pokoju, rozpakował się gruntownie i zapełnił swoimi rzeczami szafę, komodę, zdecydowany na nieograniczony na razie pobyt, kontent, że spędza godziny plaży w jedwabnym ubraniu, a przy obiedzie zjawia się u swego stolika w odpowiednim ubraniu wieczorowym.

Przyjemna jednostajność tego bytowania wciągnęła go już w swój czar, miękka i jasna łagodność tego życia urzekła go. Istotnie, cóż za miejscowość, która uroki wygodnego życia kąpielowego na południowej plaży łączy z usługowym pobliżem

dziwnie cudnego miasta! Aschenbach nie był żadny użycia. Ilekroć i gdziekolwiek chodziło o świętowanie, o spokojne wywczasy, o obracanie dni na zabawę, niepokój i niechęć zapędzały go — zwłaszcza w latach młodszych — do szczytnego trudu, do świętej, trzeźwej służby jego dnia powszedniego. Tylko ta miejscowość urzekała go, wyprzegąła jego wolę, czyniła go szczęśliwym. Czasami przed południem, pod cienistą zastoną swej budki, błądząc spojrzeniem po błękitie południowego morza lub też w ciepłą noc, oparty o poduszki gondoli, która wiozła go z Placu Marka, gdzie dłużej zabawił, pod gwieździstym niebem do domu na Lido — a psre światła, topniejące dźwięki serenady pozostawały poza nim — przypominał sobie swą siedzibę wiejską w górach, miejsce swoich letnich zapasów, gdzie chmury ciągnęły nisko przez ogród, straszliwe burze gasiły wieczorem światło w domu i kruki, które żywił, chwiały się na wierzchołkach świerków. Wtedy czuł się dobrze, jakby zabłądził na pola elizejskie¹⁰, na krańce ziemi, gdzie dane jest ludziom najłatwiejsze życie, gdzie nie ma śniegu i zimy ani burzy i ulewnych deszczów, lecz zawiewa zawsze tylko łagodnie chłodne tchnienie oceanu i dnie upływają w błogosławionym spokoju, bez trudu, bez walki, zawsze poświęcone tylko słońcu i jego świętom.

Często, niemal ciągle, widywał Aschenbach Tadzia; ograniczona przestrzeń, każdemu wyznaczony porządek dzienny sprawiły, że piękny chłopiec przez cały dzień, z przerwami, znajdował się w jego pobliżu. Widział, spotykał go wszędzie: w dolnych salach hotelu, na orzeźwiających przejażdżkach wodą do miasta i z powrotem, wśród przepychu Placu i często jeszcze tu i ówdzie, jeśli przypadek zdarzył. Głównie jednak z najszcześniejszą regularnością przed południem na plaży nastroczało się mnóstwo sposobności podziwiania i studiowa-

¹⁰ pola elizejskie — tak nazywali starożytni miejsce, które wyobrażali sobie w świącie podziemnym jako mieszkanie dusz zmarłych.

nia uroczego zjawiska. Ta właśnie nieodstępność szczęścia, ta co dzień regularnie powtarzająca się łaska okoliczności napelniała go zadowoleniem i radością życia, czyniła mu ten pobyt tak drogim i pozwalała tak nieprzerwanie do jednego dnia słonecznego dodawać drugi.

Wstawał wczesnie, jak to czynił zazwyczaj przy natarczywej gorączce pracy, i był przed innymi na plaży, gdy słońce jeszcze było łagodne i morze oślepiająco białe, pogrążone było w porannych snach. Pozdrowiał uprzejmie dozorcę przy barierce, pozdrowiał też poufale bosego starca z siwą brodą, który mu przysposabiał miejsce, rozpinął brunatną zastonę, wystawiał sprzęty z budki na platformę, i siadał. Wtedy miał przed sobą trzy lub cztery godziny, kiedy słońce wzbijało się w górę nabierając straszliwej mocy, kiedy morze coraz bardziej pogłębiało swój błękit i kiedy mógł patrzeć na Tadzia.

Widział, jak nadchodził z lewej strony brzegiem morza, widział go z tyłu zjawiającego się między budkami albo też przekonywał się nagle i nie bez radosnego strachu, że nie zauważył jego nadejścia, że chłopiec już tu był, już w białoniebieskim stroju kąpielowym, który był teraz na plaży jedynym jego ubraniem, podjął znów swoje zabawy w słońcu i piasku, to miłe, błahe, próżniaczo zmienne życie, które było igraszką i ruchem, to wałęsanie się, brodzenie, grzebanie, bieganie, obozowanie, i pływanie pod okiem i wśród nawoływań kobiet z platformy, które wykrzykiwały falsetem jego imię: „Tadziu! Tadziu!” i do których w pośpiesznej grze ruchów przybiegał, aby im opowiedzieć, co mu się przytrafiło, pokazać im, co znalazł, co złapał: muszle, koniki morskie, meduzy i bokiem biegające raczki. Aschenbach nie rozumiał ani słowa z tego, co Tadzio mówił, i choćby to było coś najzwyczajszego, miało niewyraźny, miły dźwięk dla jego ucha. Podnosił obcą mowę chłopca na wyżynę muzyki, nadmierne słońce oblewało go rozrzutnym blaskiem i wspinała perspektywa morza była dla tego zjawiska podkładem i tłem.

Niebawem obserwator znalazł każdą linię i pozę tego wzniosłego, tak swobodnie ukazującego się ciała, pozdrowiał radośnie każde znane piękno na nowo i nie znajdował kresu dla podziwu i czulej rozkoszy zmysłów. Wzywano chłopca, by przywitał się z gościem, który składał uszanowanie paniom przy budce: przybiegał, pędził mokry z morza, odrzucał loki i kiedy podawał rękę stojąc na jednej nodze, gdy druga stopa wspierała się na końcach palców, czynił uroczy ruch i zwrot ciałem, pełen wdzięcznego napięcia, zawstydzony z uprzejmości, przymilny z szlachetnego obowiązku. Leżał wyciągnięty, z prześcieradłem dookoła piersi, z delikatnie rzeźbionym ramieniem opartym na piasku, z brodą w dłoni: ten, na którego wołano „Jasiu”, siedział w kucki obok niego i bawił go i nie było nic bardziej uroczego jak uśmiech oczu i ust, z jakim uprzywilejowany patrzył na maluczkiego i usługowego. Stał na skraju morza sam, z dala od swoich, tuż obok Aschenbacha, wyprostowany, z rękoma splecionymi na karku, kołysząc się powoli w kostkach, zapatrzony marząco w błękit, gdy drobne nadbiegające fale kąpały palce jego stóp. Jego włosy barwy miodu przylegały w pierścieniach do skroni i karku, słońce oświecało puch górnej części grzbietu, a delikatny rysunek żeber, harmonijna budowa klatki piersiowej zaznaczały się pod obcisłym okryciem tułowia, pachy były jeszcze gładkie jak u posągu, zagłębienia pod kolanami łniły i ich błękitne żyłkowanie sprawiało, że ciało chłopca zdawało się utworzone z jaśniejszego materiału. Jakaż dyscyplina, jakaż precyzja myśli wyrażała się w tym wyciągniętym, młodzieńczo doskonałym ciele! Czy jednak surowa i czysta wola, która, tajemnie czynna, zdołała wydać na światło ten boski posąg, nie była jemu, artyście, znana i swojska? Czyż nie działała ona i w nim, kiedy pełen trzeźwej namietności z marmurowej masy języka wyzwał smukłą formę, którą oglądał w duchu i którą przedstawiał ludziom jako posąg i zwierciadło duchowego piękna?

Posąg i zwierciadło! Oczy jego ogarniały szlachetną postać tam, na skraju błękitu, i w rozmarzonym zachwycie zdawał

się ujmować tym spojrzeniem samo piękno, formę myśli bożej, jedyną i czystą doskonałość, która żyje w duchu i której ludzki wizerunek i podobieństwo odtworzono tu w pełnym lekkości wdzięku dla uwielbiania. To było upojenie; i nieopatrnie, ba, zachłannie witał je starzejący się artysta. Duch jego wił się, umysł zaczął się chwiać, pamięć wyrzucała z siebie prastare, przekazane jego młodości i aż dotąd nigdy jeszcze własnym ogniem nie ożywione myśli. Czyż nie było napisane, że słońce odwraca naszą uwagę od rzeczy intelektualnych do zmysłowych? Ogłusza ono i urzeka, powiadano, rozum i pamięć do tego stopnia, że dusza z rozkoszy zapomina o właściwym swym stanie i ze zdumionym podziwem czepia się najpiękniejszego pod słońcem przedmiotu; ba, tylko z pomocą ciała może potem wzbić się jeszcze do wyższej kontemplacji. Amor czyni zaiste podobnie jak matematycy, którzy niepojętym dzieciom pokazują namacalne obrazy czystych form: tak też i Bóg, aby unaocznić nam to, co duchowe, posługuje się chętnie kształtem i barwą ludzkiej młodości, którą jako narzędzie pamięci zdobi wszelkim odblaskiem piękności i na której widok zapalamy się potem cierpieniem i nadzieją.

Tak myślał rozentuzjasmowany; tak potrafił czuć. I z szumu morza i blasku słońca powstawał uroczy obraz. Był to stary platan w pobliżu muru Aten, było owo święte, cieniste, wonią kwiatów tętnące miejsce, które zdobiły święte posągi i pobożne dary ku czci nimf i Acheloosa¹¹. Przeczysty

¹¹ *Acheloos* – największa rzeka grecka, a także bóg Acheloos, personifikacja tej rzeki, syn Okeanosa i Tetydy, ojciec syren, którego świątynie czczone były w całej Grecji antycznej, przede wszystkim w Attyce i Akarnanii. Obraz świątyni Acheloosa znajdującej się wśród platanów niedaleko murów ateńskich zaczerpnął pisarz z dialogu Platona *Fajdros*, traktującego o miłości, szczególnie o miłości do chłopców, wg Platona najwyższym i najszlachetniejszym wyrazie tego uczucia, nieobcej Jowiszowi, co Platon ilustruje powołując się na mit o Ganimedesisie. Sokrates tak opisuje scenę swego dialogu z młodzieńcem Fajdrossem: „Na Herę! Toż to śliczna ustron! Ten platan ogromnie rozłożysty i wysoki i ta wierzba wysoka a śliczny cień

strumień spadał u stóp rozłożystego drzewa na gładki żwir, koniki polne grały. Ale na lekko pochyłej murawie, tak że leżąc można było mieć wzniesioną głowę, spoczywało dwóch ukrytych tu przed sypką dnia: starszy i młodszy, jeden brzydki, drugi piękny, mędrzec przy ukochanym. I wśród uprzejmości i dowcipnie zalotnych żartów pouczał Sokrates Fajdrosa¹² o tęsknocie i enocie. Mówił mu o gorącym przestrachu, którego doznaje czujący, gdy oko jego ujrzy odbicie wiecznego piękna; mówił o żądach człowieka niegodnego i złego, który nie umie myśleć o pięknie, gdy widzi jego obraz, i nie jest zdolny do czci; mówił o świętym lęku, który opada szlachetnego, gdy zjawi mu się bogom podobne oblicze, doskonałe ciało, jak wtedy drży i traci zmysły i ledwo waży się spojrzeć, i czci tego, który posiada piękno, ba, złożyłby mu ofiarę jak posągowi, gdyby się nie obawiał, że wyda się ludziom szaleńcem. Gdyż piękno, mój Fajdrosie, tylko ono jest godne miłości i widzialne zarazem; jest ono, pomnij! jedyną formą ducha, którą zmysłowo pojąć, zmysłowo znieść możemy. Bo coż by się z nami stało, gdyby tak boskość, gdyby rozsądek i cnota, i prawda chciały się objawić zmysłowo? Czyż nie zginęlibyśmy, nie spalili się od miłości, jak niegdyś Semele przed Dzeusem?¹³. Więc piękno jest

daje, a taka cała obsypana kwieciami; będzie nam tu cudownie pachniało. A jakież miłe źródło płynie spod platanu! Bardzo zimna woda, możesz spróbować. Dziewice i posągi święte pod drzewami, widać, to miejsce poświęcone jakimś nimfom i Acheloosowi”. (Platon, *Fajdros* 230 b, tłum. W. Witwickiego, nieco zmienione). Przypomnienie najwybitniejszego (obok *Uczty*) dialogu Platńskiego przedstawiającego teorię miłości do chłopców uzasadnione jest podobną tematyką noweli T. Manna, wyraźnie nawiązującej do wywodów Platona.

¹² *Fajdros* – bohater Platńskiego dialogu *Fajdros* o miłości. Zarówno aluzja do tej osoby, jak i opis krajobrazu odnoszą się do scenarii dialogów Platona, u schyłku XIX w. chętnie naśladowanych i parafrazowanych w poezji, prozie i malarstwie.

¹³ *Semele* – czczona w Atenach podczas święta Lenajów, córka Kadmosa i Harmonii, matka Dionizosa, którego spłodziła z Zeusem. Zazdrośna żona Zeusa, bogini Hera, przemieniwszy się w starą kobietę, namówiła

drogą czującego do ducha — tylko drogą, tylko środkiem, mały Fajdrosie... I potem rzekł rzecz najsubtelniejszą ten chytry zalotnik: że kochający jest istotą bardziej boską niż kochany, bo w nim nie ma boga, w tamtym zaś jest — tę najdelikatniejszą, najbardziej może szyderczą myśl, jaką kiedykolwiek pomyślano i z której bierze się cała przebiegłość i najtajniejsza rozkosz tęsknoty.

Szczęściem pisarza jest myśl, która cała staje się uczuciem, jest uczucie, które całe staje się myślą. Taka to pulsująca myśl, takie to dokładne rozeznanie nawiedzały wtedy i były posłuszne samotnikowi: to jest, że natura drży z rozkoszy, gdy duch w hołdzie oddaje pokłon pięknu. Zapragnął nagle pisać. Wprawdzie Eros¹⁴ kocha podobno próżnowanie i jest tylko dla niego stworzony. Ale w tym punkcie kryzysu wzruszenie nawiedzonego nastawione było na tworzenie. Powód był niemal obojętny. Zagadnienie, pobudka do wygłoszenia swego wyznania co do pewnego wielkiego i palącego problemu kultury i smaku wniknęła w dziedzinę duchową i zajęła podróżnika. Przedmiot był mu bliski, był jego przeżyciem. Chęć przedstawienie go w blasku słowa stała się nagle nieodparta. Miał zamiar pracować w obecności Tadzia, pisząc, wziąć za wzór budowę chłopca, styl swój poddać rytmowi linii jego ciała, które zdawało mu się boskie, i jego piękność unieść w duchowość, jak niegdyś orzeł uniósł w eter trojańskiego pasterza. Nigdy nie odczuwał słodziej rozkoszy słowa, nigdy nie był tak świadomy, że przemawia Eros, jak podczas niebezpiecznie rozkosznych godzin, kiedy siedząc przy swym

surowym stole pod cieniem namiotu, w obliczu bożyszcza, z muzyką jego głosu w uszach, wedle piękności Tadzia układał swą rozprawkę, te półtorej strony wytwornej prozy, której czystość, szlachetność i lotne uczuciowe napięcie niebawem miały budzić podziw ludzi. Jest rzeczą niewątpliwie dobrą, że świat zna tylko piękne dzieło, nie zaś jego pobudki, okoliczności jego powstania; gdyż znajomość źródeł, z których spłynął na artystę pomysł, wprowadziłaby go w kłopot, odstraszyłaby go i przez to unicestwiła działanie tego, co doskonale. Osobliwe godziny! Osobliwie denerwujący trud! Dziwnie zapładniające obcowanie ducha z ciałem! Gdy Aschenbach schował swą pracę i ruszył z plaży, czuł się wyczerpany, ba, rozstrojony, i miał wrażenie, jakby sumienie jego, jak po rozpuszcie, podnosiło skargę.

Zdarzyło się nazajutrz, że mając wyjść z hotelu ujrzał ze schodów zewnętrznych, jak Tadzio, w drodze ku morzu — i to sam — zbliżał się właśnie do bariery. Naszła go chęć, prosta myśl, by skorzystać ze sposobności i z tym, który bezwiednie przyprowadził go o niepokój i wzruszenie, zawrzeć przelotną, wesołą znajomość, przemówić doń, uradować się jego odpowiedzią, jego uśmiechem. Piękny chłopak włókł się powoli, można go było łatwo doścignąć i Aschenbach przyspieszył kroku. Dopędza go na drewnianym chodniku, chce położyć mu rękę na głowie, na ramieniu i ma na końcu języka jakieś słowo, jakiś uprzejmy francuski frazes: wtem czuje, że serce jego, może i z powodu zbyt szybkiego chodu, wali jak młot, że ledwo dysząc będzie mógł mówić tylko z trudem, z drżeniem; ociąga się, boi się nagle, że za długo już idzie tuż za pięknym chłopcem, lęka się, że tamten zwróci na to uwagę, że obejrzy się z pytającym spojrzeniem, jeszcze raz przyspiesza kroku, zwalnia, rezygnuje, wyrzeka się swego zamiaru i z wolna przechodzi mimo.

„Za późno! — pomyślał w tej chwili. — Za późno!” Jednak czyż było za późno? Ten krok, który omieszkiał uczynić, doprowadziłby prawdopodobnie do czegoś dobrego, lekkiego i wesołego, do zbawiennego otrzeźwienia. Któż odgadnie

Semele, by poprosiła ona kochanka o ukazanie się w całym majestacie króla bogów, wraz z piorunem. Semele posłuchała rywalki i splonęła od blasku pioruna Zeusa. Legenda o Semele znana jest z opowiadania Owidiusza w *Metamorfozach* (ks. III, w. 293 nn.). Tomasz Mann czyni może też aluzję do *Bachantek* Eurypidesa (w. I nn. i 242 nn.), gdzie także czytamy relację historii Semele.

¹⁴ Eros — w mitologii greckiej bóg miłości. Tu wyraźna aluzja do Platńskiego Erosa.

istotę i sedno arcyzmu! Któż pojmie to stopienie instynktów dyscypliny i rozkielzania, w których on spoczywał! Gdyż nie umieć chcieć zbawczego otrzeźwienia jest rozkielzaniem. Aschenbach nie był już usposobiony do samokrytyki, smak, duchowy nastrój jego lat, szacunek dla siebie, dojrzałość i późna prostota nie czyniły go skłonny do analizowania i rozstrzygania, czy zamiaru swego nie dokonał z powodu sumienia, czy z powodu niedołęstwa i słabości. Był zmieszany, bał się, aby ktoś, choćby tylko dozorca plaży, nie zauważył jego biegu, jego klęski, bał się bardzo śmieszności. Zresztą żartował sam w duszy ze swego komiczno-świątobliwego lęku. „Przerażony — myślał — przerażony jak kogut, który w bitwie opuszcza trwożnie skrzydła. To zaprawdę Bóg na widok ukochanego łamie naszą odwagę i nasz dumny umysł tak całkiem przygniata do ziemi...” Grał, marzył i był za wielkoduszny, aby się bać uczucia.

Już nie czuwał nad upływem wolnego czasu, który sobie sam wyznaczył; myśl o powrocie do domu nie powstała w nim nawet. Zaopatrzył się w dostateczną ilość pieniędzy. Troska jego dotyczyła jedynie odjazdu polskiej rodziny; lecz dyskretnie wywiedział się u fryzjera hotelowego, że państwo ci przybyli tu niedługo przed jego przyjazdem. Słońce opaliło mu twarz i ręce, pobudzające słone powietrze poprawiło jego samopoczucie i, jak dawniej każde pokrzepienie, którego użyły mu sen, pożywienie i natura, natychmiast zwykł był spożytkować dla dzieła, tak teraz wszystko, czym posilało go codzienne słońce, odpoczynek i oddech morza, z wielkodusznym brakiem ekonomii marnował w upojeniu i uczuciu.

Miał sen lekki; rozkosznie jednostajne dni przedzielone były krótkimi nocami pełnymi szczęśliwego niepokoju. Wprawdzie wracał do siebie wcześniej, gdyż o dziewiątej; kiedy Tadzio zniknął z widowni, dzień zdawał mu się skończony. Ale o pierwszym świcie budził go delikatny a przenikliwy lęk, serce jego przypominało sobie swą przygodę, nie mógł wytrzymać już wśród poduszek, wstawał i lekko otulony

przed dreszczem poranka siadał przy otwartym oknie oczekując wschodu słońca. Cudowne zdarzenie napępniało jego uświęconą snem duszę nabożeństwem. Niebo, ziemia i morze tonęły jeszcze w widmowo szklistej bladej świtu; znikająca gwiazda pływała jeszcze w bezistotnej pustce. Ale zjawił się powiew, uskrzydłona wieść z niedosiężonych siedzib, że Eos¹⁵ wstała od boku małżonka, i ukazała się owa pierwsza różowość najodleglejszych dali nieba i morza, którą zapowiada się uzmysłowić Stworzenie. Bogini zbliżała się, uwodzicielka młodzieńców, która porwała Klejtosa, Kefalosa i na przekór wszystkim olimpijczykom cieszyła się miłością pięknego Oriona. Posiew róż zaczął się na krańcu świata, niewymownie uroczyste błyski i rozkwity, dziecięce chmury, przejaśnione, przeświecone, unosiły się podobne usługującym amorkom w różowej, błękitnej woni, purpura padała na morze, które wałami zdawało się przelewać ją naprzód, złote oszczepy strzelały z dołu ku wyżynom nieba, blask zmienił się w pożar, bezgłośnie, z boską samowolą, przewalał się ogień i żar, i buchające płomienie ku górze i porywistymi kopytami wspinały się wzwyż święte brata rumaki na okrąg ziemi. Oświecony wspaniałością boga, siedział samotnie czuwający, zamknął oczy, pozwalając glorii całować swe powieki. Dawne uczucia, wczesne rozkoszne udręki serca, które zamarty w surowej służbie jego życia i teraz wracały tak osobliwie zmienione — poznawał ze zmieszaniem, zdziwionym uśmiechem. Dumął, marzył, wargi jego układały się powoli w imię i uśmiechając się wciąż jeszcze w górę

¹⁵ Eos — w mitologii greckiej bogini zorzy porannej. Postać niezwykle często występująca w poezji starogreckiej, zwłaszcza u Homera. Powoływanie się na Eos charakterystyczne jest też dla poezji parnasistowskiej schyłku XIX w. I ta aluzja, i aluzje do jej przygód miłosnych z Klejtossem, Kefalosem i Orionem charakterystyczne są dla crudycyjnego kolorytu noweli Tomasza Małły, chętnie odwołującej się do nastrojów i postaci zaczerpniętych z literatury i mitologii starożytnej, co wzmocniać ma związek z wywodami zaczerpniętymi z Platona o potęgę Erosa.

zwróconym obliczem, z rękami splecionymi na kolanach, zdrzemnął się w fotelu raz jeszcze.

Alc dzień, który zaczął się tak płomiennie i uroczyście, był cały dziwnie podniosły i mitycznie zmieniony. Skąd przybyło i pochodziło to tchnienie, które naraz tak łagodnie i wieloznacznie, podobne wyższemu podszeptowi, owiewało skronie i uszy? Białe, pierzate chmurki widniały w rozpostartych smugach na niebie, podobne pasącym się owcom bogów. Podniósł się silniejszy wiatr i rumaki Posejdona¹⁶ mknęły, zarówno jak byki należące do Modrokędziernego¹⁷, które pędząc z rykiem schylały rogi. Wśród skalnego żwiru dalszego brzegu jednak podskakiwały fale jak hasające kozy. Świątecznie odmieniony świat, pełen panicznego życia, zamykał oczarowanego i serce jego śniło tkliwe bajki. Niejednokrotnie, gdy za Wenecją zapadało słońce, siedział na ławce w parku, aby przyglądać się Tadziowi, który w białym ubraniu z kolorowym paskiem na wywalcowanym żwirowym placu bawił się piłką, i patrzącemu zdawało się, że jest to Hiakintos¹⁸,

który musiał umrzeć, gdyż kochali go dwaj bogowie. Ba, odczuwał bolesną zazdrość Zefira względem współzawodnika, który zapomniał o wyroczni, o łuku i kitarze¹⁹, aby zawsze bawić się z pięknym chłopcem; widział dysk, kierowany okrutną zawiścią, godzący w uroczą głowę, przyjął, błędąc także, złamane ciało i kwiat wzrosły ze słodkiej krwi nosił napis jego nieskończonej skargi...

Nie ma nic osobliwszego, drażliwszego niż stosunek ludzi, którzy znają się tylko oczyma, którzy co dzień, ba, co godzina się spotykają, obserwują się i przy tym przez przymus zwyczaju czy własne widzimisię zmuszeni są zachowywać obojętną obojętność bez pozdrowienia i słowa. Unosi się między nimi niepokój i przewrażliwiona ciekawość, histeria niezaspokojonej, nienaturalnie tłumionej potrzeby poznania się i kontaktu, a również rodzaj sztywnego szacunku. Gdyż człowiek kocha i szanuje człowieka, dopóki nie może go osądzić, i tęsknota jest wynikiem niedostatecznej znajomości.

Jakiś stosunek i znajomość musiały się koniecznie zawiązać między Aschenbachem i młodym Tadziem i z przejmującą radością mógł starszy stwierdzić, że zainteresowania i uwaga nie pozostały zupełnie nie odwzajemnione. Cóż na przykład skłaniało pięknego chłopca, gdy rano zjawiał się na plaży, aby nie kroczył nigdy już ścieżką po deskach poza budkami, lecz tylko drogą przed nimi, szedł wolno do budki swoich przez piasek, obok miejsca Aschenbach i czasem niepotrzebnie tuż mimo niego, ocierając się niemal o jego stół, jego krzesło? Czy pociąg, fascynacja silnego uczucia działały tu na jego delikatny i bezmyślny przedmiot? Aschenbach czekał co dzień na wyjście Tadzia i czasem, gdy się pojawiał, udawał, jakby był

wg które Hiakint zginął wskutek zazdrości boga wiatru zachodniego Zefira. Bożek ten skierował lecący dysk na głowę chłopca nie mogąc znieść tego, iż go on lekceważy.

¹⁹ kitarą (gr.) – starogrecki instrument strunowy, szarpany, odmiana liry, najważniejszy wśród greckich instrumentów muzycznych.

¹⁶ Posejdon – w mitologii greckiej bóg mórz. Obraz poetycki przedstawiający mknący po morzu zaprzęg Posejdona jest z poczyj starożytnej (np. z *Eneidy* Wergiliusza, ks. V, 817–826).

¹⁷ Opis wzburzonego przez Posejdona brata Zeusa, w mitologii greckiej władcy oceanów, morza, dokładnie według *Odysei* Homera. Posejdon zsyła burze (*Odyseja*, ks. V, 291 nn.) i stąd uważany bywał za twórcę rumaków, będących symbolem ruchliwego, wzburzonego morza. Rumaki ciągnęły wóz Posejdona po morzu. Składano mu jako ofiarę byki (*Odyseja*, ks. III w. 5 nn.), co zapewne symbolizować miało ujarzwienie wzburzonego morza, dlatego T. Mann określa je, za Homerem, jako należące do modrokędziernego, tj. Posejdona. Ten miał bowiem w poczyj homeryckiej stały epitet (*epitheton ornans*) *kyanohaites*, „ciemnowłosy” (*dunkelhaarig*, *der Dunkelhaarige*), co T. Mann tłumaczy jako *bläulichgelockt* idąc wiernie za znanym tłumaczem Homera na język niemiecki J. H. Vossem, który tak właśnie przekłada wspomniany opis ofiary składanej bogu (*Od.* VII, 5). Sądzić więc należy, że *Odyseję* znał T. Mann z lektury tego właśnie przekładu.

¹⁸ Aschenbach przypomina sobie sławny starożytny mit o miłości Apollona do Hiakinta, pięknego chłopca, którego bóg niechcący zabił dyskiem w czasie zabawy, por. Owidiusza *Metamorfozy*, ks. X w. 162 nn. T. Mann podaje jednak wersję znaną z Lukiana, *Rozmowy bogów* (nr 14),

zajęty, i pozwalał pięknemu chłopcu przejść na pozór niepostrzeżenie. Niekiedy jednak podnosił wzrok i spojrzenia ich spotykały się. Byli obaj głęboko poważni, gdy się to działo. W wyrazistej i pełnej godności minie starszego nic nie zdradzało wzruszenia; ale oczy Tadzia wyrażały badanie, pełne namysłu pytanie, w chodzie jego widziało się ociągliwość, spoglądał ku ziemi, podnosił znów mile oczy i kiedy przeszedł, coś w postawie jego mówiło, że gdyby nie wstrzymywało go dobre wychowanie, byłby się obejrzał.

Raz jednak, pewnego wieczoru, stało się inaczej. Polskiego rodzeństwa wraz z guwernantką zabrakło przy obiedzie, co Aschenbach zauważył ze smutkiem. Gdy wstano od stołu, przechadzał się, bardzo zaniepokojony ich nieobecnością, u stóp hotelowego tarasu, w wieczorowym ubraniu i słomkowym kapeluszu, gdy nagle ujrzał wynurzające się w świetle łukowych lamp podobne do zakonnic siostry z wychowawczynią i cztery kroki za nimi Tadzia. Widocznie szli z przystani parowców, zjadłszy obiad z jakiegoś powodu w mieście. Na wodzie było już zapewne chłodno; Tadzio miał na sobie granatową marynarską bluzę ze złotymi guzikami, a na głowie odpowiednią czapkę. Słońce i morskie powietrze nie opaliły go, cera jego pozostała żółtawo-marmurowa jak przedtem, lecz wydawał się dziś bledszy niż zwykle, czy to z powodu chłodu, czy wskutek księżycowego światła lamp. Jego symetryczne brwi rysowały się ostrzej, oczy były głęboko ciemne. Był piękniejszy, niż można wypowiedzieć, i Aschenbach czuł, jak już nieraz, z boleścią, że słowo może zmysłowe piękno tylko sławić, nie może go oddać.

Nie oczekiwał drogiego zjawiska, przyszło niespodziewanie, nie miał czasu nadać swej twarzy spokoju powagi. Radość, zaskoczenie, podziw malowały się na niej wyraźnie, gdy wzrok jego napotkał tego, którego brak odczuwał, i w tej sekundzie zdarzyło się, że Tadzio się uśmiechnął: uśmiechał się do niego wymownie, poufale, uroczo i otwarcie, wargami które dopiero w uśmiechu powoli się rozwarły. Był

to uśmiech Narcyza²⁰ pochylającego się nad zwierciadłem wody, ów głęboki, oczarowany, bierny uśmiech, z którym ku odbiciu własnej piękności wyciąga ramiona, troszeczkę skrzywiony uśmiech, skrzywiony beznadziejnością pragnienia, by ucałować wdzięczne wargi swego cienia, zalotny, ciekawy i lekko udręczony, uwodzący i uwiedziony.

Ten, który otrzymał ten uśmiech, uszedł z nim jakby z fatalnym darem. Był tak bardzo wstrząśnięty, że zmuszony był unikać światła tarasu, ogródka przed domem i szybkim krokiem szukał cienia w parku za willą. Wyrwały mu się osobliwe, oburzone i tklive upomnienia: „Nie wolno ci się tak uśmiechać! Posłuchaj, tak nie wolno się do nikogo uśmiechać!” Rzucił się na ławkę, wdychał odchodząc od zmysłów nocną woń roślin. I podany w tył, z opuszczonymi ramionami, pokonany i wstrząsany dreszczem, szeptał stałą formułę tęsknoty — niemożliwą tu, niedorzeczną, niegodziwą, śmieszna, a jednak świętą, czcigodną jeszcze i tutaj: „Kocham cię!”

W czwartym tygodniu swego pobytu na Lido poczynił Gustaw von Aschenbach kilka spostrzeżeń dotyczących światła zewnętrznego. Po pierwsze zdawało mu się, jakoby z biegiem sezonu frekwencja jego hotelu raczej malała, niż rosła, a zwłaszcza jakoby język niemiecki dokoła niego wygasł i milkł, tak że przy stole i na plaży ucho jego słyszało wreszcie tylko obce dźwięki. Potem pewnego dnia pochwycił u fryzjera, którego teraz częściej nawiedzał, w rozmowie słowo, które go zdziwiło. Człowiek ten wspomniął o niemieckiej rodzinie, która właśnie po krótkim pobycie wyjechała, i dodał gawędząc pochlebco:

— Pan zostanie, szanowny panie; pan się nie boi choroby.

Aschenbach spojrzał nań.

— Choroby? — powtórzył.

²⁰ Narcyz — w mitologii greckiej piękny młodzieniec, który zakochał się w sobie ujrawszy swoje odbicie w wodzie; zamieniony został w kwiat nazwany jego imieniem. Opowiadanie o Narcyzie znane jest m.in. z *Metamorfóz* Owidiusza.

Gadula zamilkł, udał zajętego, puścił pytanie mimo uszu. Zapytany natarczywiej, oświadczył, że o niczym nie wie, i z zakłopotaną swadą starał się zmienić temat.

Było to w południe. Po południu pojechał Aschenbach podczas ciszy morskiej i ciężkiego upału do Wenecji, gdyż gnęła go mania jeżdżenia za polskim rodzeństwem, które widział, jak z wychowawczynią wyruszyło ku przystani parowców. Nie znalazł bożyszcza na San Marco. Ale przy herbacie, siedząc przy żelaznym okrągłym stoliku po cienie tej strony Placu, zwiertzył nagle w powietrzu osobliwy aromat, który, jak mu się teraz zdawało, już od szeregu dni uderzał jego powonienie nie dochodząc do jego świadomości — słodkawy zapach oficyn, który przypominał nędzę, rany i podejrzaną czystość. Badał i poznał go po namyśle, skończył przekąskę i opuścił Plac od strony przeciwległej świątyni. W tłoku wzmocnił się zapach. Na rogach ulic widniały drukowane obwieszczenia, które z powodu pewnych schorzeń systemu gastrycznego, będących przy tej pogodzie na porządku dziennym, po ojcowsku ostrzegały ludność przed spożywaniem ostryg i muszli, jako też przed wodą kanałów. Upiększający charakter obwieszczeń był wyraźny. Gromadki ludności stały milcząc na mostach i placach, i cudzoziemiec stał wietrząc i rozmyślając pośród nich.

Właściciela sklepu, który wśród sznurów koralu i fałszywych klejnotów ametystowych opierał się o drzwi swego kramu, prosił o wyjaśnienie mu fatalnego zapachu. Człowiek ten zmierzzył go sennym wzrokiem i przebudził się nagle.

— Środek zapobiegawczy! — rzekł gestykulując. — Rozporządzenie policji, które trzeba pochwalić. Ta pogoda przygnębia, sirocco nie sprzyja zdrowiu. Słowem, rozumie pan, może przesadna ostrożność...

Aschenbach podziękował mu i poszedł dalej. Także na parowcu, którym wracał na Lido, czuł teraz zapach dzynfekcyjnego środka.

Wróciwszy do hotelu udał się natychmiast do hallu i przy stole z gazetami przejrzał pisma. W obcojęzycznych nie znalazł nic. Krajowe podawały wiadomości, przytaczały niepewne cyfry, drukowały urzędowe zaprzeczenia i powątpiewały o ich prawdziwości.

Tak wyjaśnił się ubytek niemieckiego i austriackiego elementu. Przynależni do innych narodowości nie wiedzieli widocznie nic, nie przeczuwali nic, nie byli jeszcze zaniepokojeni. „Należy milczeć! — myślał Aschenbach poruszony, rzucając gazety na stół. Milczeć o tym!” Lecz jednocześnie nappełniło się jego serce zadowoleniem z powodu przygody, w jaką miał popaść świat zewnętrzny. Gdyż namiętności, jak i występki, nie odpowiada zapewniony ład i dobrobyt dnia codziennego i wszelkie rozluźnienie mieszczańskiego ustroju i wszelkie zamieszanie, i skłócenie świata musi być jej mile, gdyż może przy tym niejasno spodziewać się swojej korzyści. Więc Aschenbach czuł skryte zadowolenie z maskowanych przez zwierchność wypadków w brudnych uliczkach Wenecji, tej niedobrej tajemnicy miasta, która łączyła się z jego własną tajemnicą i na której zachowaniu i jemu tak bardzo zależało. Gdyż zakochany lękał się tylko tego, że Tadzio mógłby odjechać, i przekonywał się nie bez przerażenia, że nie umiałby już żyć, gdyby się to stało.

Nie dość mu już było zawdzięczać bliskość i widok pięknego chłopca porządkowi dnia i szczęściu; chodził w ślad za nim, czatował na niego. W niedzielę, na przykład, Polacy nie zjawiali się nigdy na plaży, zgadywał, że chodzili na mszę do San Marco. Śpiesząc tam i wchodząc z żaru placu w złoty zmierzch świątyni znajdował poszukiwanego schylonego nabożnie na kłęczniku. Wtedy stawał w tyle na popękanej mozaice posadzki, wśród kłęczącego, mrużącego, żegnającego się krzyżem ludu, i bujny przepych wschodniej świątyni ciążył przytłaczająco na jego zmysłach. Przed nim poruszał się, gestykulował i śpiewał przybrany w ciężki ornat kapłan, wzbijało się kadzidło, przystaniało mgłą bezsilne płomyki świec na ołtarzu i z mdło-słodkim zapachem ofiarnym zdawał

się skrycie łączyć zapach inny: wyziew chorego miasta. Ale poprzez zapach i migotanie widział Aschenbach, jak tam, z przodu, piękny chłopiec odwrócił głowę, szukał go i dojrzał.

Gdy potem tłum wypłynął przez otwarte portale na lśniący, od gołębi rojący się plac, ukrył się oszołomiony w przedsieni, zaszył się, stanął na czatach. Widział, jak Polacy opuścili świątnię, jak rodzeństwo w sposób ceremonialny żegnało się z matką, która zmierzając do domu skierowała się ku Piazzetcie; stwierdził, że piękny chłopiec, klasztorne siostry i guwernantka wyszli prawą stroną przez bramę wieży z zegarem na Mercerię i kiedy puścił ich nieco przodem, szedł w ich ślad towarzysząc im ukradkiem w wycieczce po Wenecji. Musiał przystawać, kiedy się zatrzymywali, musiał umykać do garkuchni i na dziedzińce, aby przepuścić powracających; tracił ich, szukał zgorączkowany i wyczerpany po mostach i brudnych ślepych uliczkach i znosił minuty śmiertelnej udręki, gdy ujrzał ich nagle, idących wprost na niego w ciasnych przejściach, gdzie trudno ich było wyminąć. Nie można wszakże powiedzieć, że cierpiał. Głowa i serce były upojone i kroki jego szły za wskazówkami demona, dla którego rozkoszą jest rozum i godność ludzką deptać nogami.

Potem Tadzio ze swoimi wsiadał gdzieś do gondoli i Aschenbach, którego, gdy się sadowili, zasłaniał jakiś występ muru lub studnia, czynił po ich odbiciu od brzegu to samo. Mówił szybko, stłumionym głosem, gdy obiecując hojny napiwek kazał wiosłarzowi niepostrzeżenie jechać w pewnym odstępie za ową gondolą, która właśnie skręcała tam na rogu; i pot go zlewał, gdy człowiek ten z łobuzerską gotowością stręczyciela zapewniał go tym samym tonem, że będzie obsłużony, sumiennie obsłużony.

Tak mknął kołysząc się, oparty na miękkich czarnych poduszkach, za tamtą czarną, wzniesioną dziobem barką, z której śladem wiązała go namiętność. Chwilami znikala mu wtedy odczuwał troskę i niepokój. Ale przewoźnik jego,

jakby był dobrze obyty z takimi zadaniami, umiał zawsze przez chytre zabiegi, przez szybkie zakosy i skróty przywieść mu przed oczy to, czego pragnął. Powietrze było ciche i wonne, słońce prażyło poprzez opar, który nadawał niebu barwę łupku. Woda chlupotała o drzewo i kamień. Okrzyk gondoliera, na pół ostrzeżenie, na pół pozdrowienie, otrzymywał z dala, z ciszy labiryntu, wedle osobliwej umowy odpowiedź. Z małych, wysoko położonych ogrodów zwisały ze zbutwiałych murów okiście kwiatów pachnące migdałami. Arabskie obramienia okien odbijały się w mętnej wodzie. Marmurowe stopnie kościoła schodziły do wody; przykucnięty na nich żebrak, zapewniający o swej nędzy, nadstawiał kapelusz i pokazywał białka oczu, jak gdyby był ślepy; sprzedawca starożytności ze swojej spelunki zapraszał przejeżdżającego płaszczącymi się ruchami do zatrzymania się, w nadziei, że go oszuka. To była Wenecja, przymilna i podejrzana piękność, to miasto pół-bajka, pół-lapka na cudzoziemców, w którego zgniłym powietrzu hulaszco wybujała kiedyś sztuka i które muzykom poddawało kołyszące i zalotnie usypiające dźwięki. Szukający przygody czuł, jakby oko jego piło podobną rozkosz, jakby ucho jego kusiły takie melodie; przypominał sobie, że miasto jest chore i ukrywa to z żądzy zysku, i szpiegował niepohamowanie mknącą przed nim gondolę.

Pomylenieć nie znał i nie chciał już nic innego, tylko ścigać nieprzerwanie przedmiot, który go zapalał, marzyć o nim, gdy był nieobecny, i zwyczajem kochającym darzyć sam jego cień tkliwymi słowami. Samotność, obczyzna i szczęście późnego i głębokiego odurzenia ośmielały i namawiały go do wybaczenia sobie najdziwniejszych rzeczy bez obawy i rumieńca, co też się stało, gdyż późnym wieczorem, wróciwszy z Wenecji, zatrzymał się na pierwszym piętrze hotelu przy drzwiach pięknego chłopca, oparł czoło w całkowitym upojeniu o zawiasy drzwi i nie mógł się długo stamtąd oderwać narażając się na to, że może być przydybany i pochwycony w tak obłąkanym położeniu.

Jednak nie brak było chwil przerwy i połowicznego opamiętania. Jakimi drogami! Jak każdy człowiek, któremu naturalne zasługi wpajają artystokratyczne zainteresowanie swym pochodzeniem, przywykł przy osiągnięciach i powodzeniach swego życia pamiętać o przodkach, upewniając się w duchu co do ich zgody, zadowolenia i koniecznego szacunku. Myślał o nich też teraz i tutaj; uwikłany w tak niedopuszczalną przygodę, pogrążony w tak egzotycznych wybrykach uczucia, pamiętał o statecznej surowości, przystojnej męskości ich życia i uśmiechał się melancholijnie. Cóż by oni powiedzieli? Ale, co prawda, coż by powiedzieli o całym jego życiu, które od ich życia odbiegło aż do zwyrodnienia, o tym życiu w pętach sztuki, o którym on sam w sensie obywatelskich pojęć przodków wypowiedział tak młodzieńczo-szydercze przekonania i które w gruncie rzeczy tak podobne było do ich życia! I on też służył, i on był żołnierzem i wojownikiem jak niejeden z nich — gdyż sztuka była wojną, wycieńczającą walką, do której dziś niedługo się było zdającym. Życie przewycięzania siebie i nieulękłości, cierpkie, stanowcze i wstrzemięźliwe życie, z którego uczynił symbol delikatnego i współczesnego heroizmu — mógł nazwać męskim, mógł nazwać dzielnym i zdawało mu się, że Eros, który nim owaładnął, mógł takiemu życiu w jakiś sposób szczególnie sprzyjać i być mu życzliwy. Czyż nie cieszył się u najwaleczniejszych ludów najwyższą czią, ba, czyż nie twierdzono, że dzięki waleczności słynął w ich miastach? Liczni bohaterowie wojenni pryncasów chętnie znosili jego jarzmo, gdyż nic nie było poniżeniem, co bóg zarządził, i czyny, które ganił — padanie do nóg, przysięgi, żarliwe prośby i niewolniczość — nie przynosiły kochającemu wstydu, lecz zbierał on raczej za nie pochwały.

Tak myślał omamiony, tak poszukiwał oparcia, by ustrzec swoją godność. Ale zarazem zwracał ustawicznie czujną i uporczywą uwagę na nieczyste zdarzenia w łonie Wenecji, na ową przygodę świata zewnętrznego, która spływała się niejasno

z przygodą jego serca i żywiła jego namiętność nieokreślonymi, bezprawnymi nadziejami. Zawziąwszy się, aby się dowiedzieć czegoś nowego i pewnego o stanie i postępie zarazy, wertował w kawiarniach miejskich krajowe pisma, gdy ze stołu w czytelni hotelowej znikły od dni kilku. Twierdzenia i zaprzeczenia luzowały się w nich nawzajem. Liczba zachorzeń i wypadków śmiertelnych miała wynosić dwadzieścia, czterdzieści, ba, sto i więcej i wnet potem każde wystąpienie zarazy, jeśli nie spotkało się z natychmiastowym zaprzeczeniem, ograniczano do zupełnie odosobnionych, z zewnątrz zawleczonych wypadków. Ostrzegawcze uwagi, protesty przeciw niebezpiecznej grze włoskich władz były rozsiane, pewności nie można było uzyskać.

Jednak samotnik uświadamiał sobie osobliwe prawo do uczestniczenia w tajemnicy i, choć wyłączony, znajdował dziwaczne zadowolenie w zadawaniu wiedzącym podstępnych pytań i w zmuszaniu do wyraźnego kłamstwa tych, co byli obowiązani milczeć. Pewnego dnia przy śniadaniu w wielkiej sali jadalnej wezwał do odpowiedzi kierownika zakładu, owego niskiego, cicho wchodzącego w francuskim surducie człowieka, który kłaniając się i dozorując poruszał się między jedzącymi i zatrzymał się także przy stole Aschenbacha dla wymiany kilku słów.

— Dlaczego właściwie — zapytał gość mimochodem, w niedbałym tonie — dlaczego u licha, dezynfekuje się od pewnego czasu Wenecję?

— Chodzi z pewnością — rzekł skryty człowiek — o zarządzenie policji, by obowiązkowo i zawczasu zapobiec wszystkim niesprzyjającym lub szkodzącym publicznemu zdrowiu warunkom, które może wytworzyć długa i wyjątkowo ciepła pogoda.

Policja godna jest pochwały — odrzekł Aschenbach; i po wymianie kilku meteorologicznych spostrzeżeń pożegnał go zarządca.

Tegoż jeszcze dnia wieczorem, po obiedzie, zdarzyło się, że garstka śpiewaków ulicznych z miasta produkowała się we

frontowym ogrodzie hotelu. Stali, dwóch mężczyzn i dwie kobiety, przy żelaznym maszcie lampy lukowej i wznosili swe białe oświetlone twarze ku wielkiej terasie, gdzie kuracjusze przy kawie i chłodzących napojach raczyli słuchać ludowego programu. Personel hotelowy, liftboje, kelnerzy i funkcjonariusze zarządu ukazywali się nasłuchując w drzwiach hallu. Rosyjska rodzina, gorliwa i dokładna w używaniu, kazała sobie ustawić trzcinowe krzesła w ogrodzie, aby być bliżej wykonawców, i siedziała tam wdzięczna, półkolem. Za państwem, w podobnym do turbanu zawoju, stała ich stara niewolnica.

Mandolina, gitara, harmonika i rzępolące skrzypce pracowały w rękach żebraczych wirtuozów. Instrumentalne produkcje przeplatały numery śpiewne, gdy młodsza z kobiet, o ostrym, piskliwym głosie, zespalała się z słodkim falsetem tenora w pożądlivy duet miłosny. Ale właściwym talentem i głową stowarzyszenia okazywał się niedwuznacznie drugi z mężczyzn, właściciel gitary, z charakteru barytonbuffo²¹, niemal bez głosu, ale obdarzony mimicznym talentem i godną uwagi siłą komiczną. Często, z wielkim instrumentem na ramieniu, odłączał się od grupy tamtych i posuwał się gestykulując przed rampę, gdzie jego sowizdrzalstwa nagradzano zachęcającym śmiechem. Zwłaszcza Rosjanie, na swym parterze, byli zachwyceni tak wielką południową ruchliwością i ośmielali go poklaskiem i okrzykami do coraz zuchwalszych i pewniejszych kawałów.

Aschenbach siedział przy balustradzie i ochładzał chwilami wargi mieszaniną grenadyny z wodą sodową, skrzęcej się przed nim w szklance rubinową czerwinią. Nerwy jego chłoneły chciwie rzępolące dźwięki, wulgarne i tęskne melodie, gdyż namiętność paraliżuje wybredny smak i lubuje się z całą powagą urokami, które trzeźwość przyjmowałaby humorystycznie lub odrzuciłaby niechętnie. Rysy jego pod wpływem skoków kuglarza znieruchomiały i skurczyły się

w już bolesny uśmiech. Siedział beczynn timer, podczas gdy wewnętrzna uwaga jego napięta była do ostateczności: gdyż sześć kroków od niego stał Tadzio oparty o kamienną balustradę.

Stał tam w białym ubraniu z paskiem, które wkładał niekiedy do głównego posiłku, z nieodpartym, wrodzonym wdziękiem, z lewym ramieniem na parapecie, ze skrzyżowanymi nogami, z prawą ręką na biodrze, i z wyrazem, który nie był uśmiechem, lecz odległą ciekawością, grzeczną uprzejmością, spoglądał na ulicznych śpiewaków. Niekiedy prostował się i wypinając pierś, pięknym ruchem obu ramion ściągał w dół biały kitel pod skórzanym paskiem. Ale czasem też, co starzejący się spostrzegał z tryumfem, z zawrotem głowy jak i z przerażeniem, odwracał ociągł i powoli albo też szybko i nagle, jakby chodziło o zaskoczenie, głowę przez lewe ramię ku miejscu swego wielbiciela. Nie napotykał jego oczu, gdyż haniebna obawa zmuszała zbłąkanego do trwożnego trzymania spojrzeń na wodzy. W głębi tarasu siedziały kobiety, które strzegły Tadzia, i doszło do tego, że zakochany musiał się bać, by nie wpaść w oczy i nie ściągnąć na siebie podejrzenia. Ba, z pewnego rodzaju drętwieniem miał kilkakrotnie sposobność zauważyć na plaży, w hallu hotelowym i na Piazza San Marco, że odwoływano Tadzia z jego pobliza, starając się go trzymać z dala od niego; i musiał stać doznać strasznej obrazę, z powodu której duma jego wila się w nieznanych udrękach i którą odrzucić wahało się jego sumienie.

Tymczasem gitarzysta przy własnym akompaniamencie rozpoczął solo kilkuzwrotkową, właśnie kwitnącą w Italii piosnkę brukową, w której refren wpadało każdym razem jego towarzystwo śpiewem i wszystkimi instrumentami i którą on śpiewał w sposób plastyczno-dramatyczny. Smukłej budowy, na twarzy chudy i zmizierowany, odosobniony od swoich, w nędznym filcowym kapeluszu na tyle głowy, tak że kosmyk rudych włosów wyzierał spod ronda, stał w postawie beczelnej brawury na zwirze i rzucał przy brzęku strun w dosadnym

²¹ *buffo* — aktor komik w komedii muzycznej lub operze.

*recitativo*²² swoje żarty ku terasie, podczas gdy z aktorskiego wysiłku żyły nabrzmiwały mu na czole. Zdawał się nie pochodzić z Wenecji, był raczej z rasy neapolitańskich komików, na pół sutener, na pół komediant, brutalny i zuchwały, niebezpieczny i zabawny. Piosnka jego, o słowach po prostu głupich, nabierała w jego ustach, przez mimikę, ruchy ciała, sposób aluzyjnego mrugania i sprośnego igrania językiem w kątach ust, czegoś dwuznacznego, niejasno gorszącego. Z białego kołnierza sportowej koszuli, którą zresztą nosił do miejskiego ubrania, wyrastała chuda szyja z uderzającego wielkim i wywołującym wrażenie nagości jabłkiem adamowym. Jego blada, tęponosa twarz, pozbawiona zarostu, z której rysów trudno było wnioskować o jego latach, zdała się zorana grymasami i występkami i dziwnie do szydlerczego uśmiechu jego ust pasowały obie bruzdy rysujące się przekornie, władczo, niemal dziko między jego rudawymi brwiami. Co jednak właściwie zwróciło nań głęboką czujność samotnika, to spostrzeżenie, że podejrzana figura zdawała się wnosić z sobą własną podejrzaną atmosferę. Każdym razem bowiem, kiedy znowu zaczynał się refren, podejmował śpiewak wśród błazeństw i powitalnego kiwania ręką groteskowy marsz dokoła, który go wiódł bezpośrednio przed miejsce Aschenbacha, i każdym razem, gdy to się działo, zawiewał od jego ubrania, od jego ciała silny zapach karbolu ku terasie.

Po skończonym kupiecie zaczął zbierać pieniądze. Podeszedł naprzód do Rosjan, którzy okazali pełną gotowości hojność, i potem ruszył po schodach na górę. O ile zuchwale zachowywał się podczas swego popisu, o tyle pokornym okazywał się tu na górze. Płaszcząc się przemykał między stolikami i uśmiech złośliwej służalczości obnażał jego silne zęby, podczas gdy wciąż jeszcze dwie zmarszczki widniały groźnie między jego rudawymi brwiami. Przyglądano się dziwnemu, zbierającemu na życie osobnikowi z ciekawością i niejaką

odrazą, wrzucano wypiełgnowanymi palcami pieniądze do jego kapelusza i strzeżono się, by go nie dotknąć. Zniesienie fizycznego dystansu między komediantem i przyzwoitymi ludźmi stwarza, choćby przyjemność była wielka, zawsze pewne zakłopotanie. On czuł je i starał się usprawiedliwić płaszczeniem. Zbliżał się do Aschenbacha z zapachem, nad którym nikt dokoła nie zdawał się zastanawiać.

— Posłuchaj — rzekł Aschenbach stłumionym głosem, niemal machinalnie. — Dezynfekuj Wenecję. Czemu?

Żartowniś rzekł zachrypłym głosem:

— Na zarządzenie policji! To jest przepis, szanowny panie, przy takim upale i podczas sirocca. Sirocco przytłacza. Nie służy zdrowiu... — Mówił jakby zdziwiony, że można zadawać takie pytania, i demonstrował płaską dłoń, jak bardzo sirocco przytłacza.

— Więc nie ma żadnej choroby w Wenecji? — spytał Aschenbach bardzo cicho przez zęby.

Muskularne rysy blazna przeszły w grymas komicznej bezradności.

— Choroby? Ależ jakiej choroby? Czy może sirocco jest chorobą? Czy może nasza policja jest chorobą? Pan raczy żartować! Choroba! Czemużby nie! Zapobiegawczy środek, rozumie pan przecie! Policyjne rozporządzenie przeciw działaniu przygnębiającej pogody... — Gestykułował.

Dobrze — rzekł Aschenbach znów krótko i cicho i wrzucił szybko do kapelusza nieodpowiednio duży pieniądz. Potem oczami dał znak człowiekowi, by odszedł. Posłuchał go szczerząc zęby wśród ukłonów. Ale nie doszedł jeszcze do schodów, gdy dwóch funkcjonariuszy hotelowych rzuciło się nań i z twarzami tuż przy jego twarzy wzięło go szepcząc w krzyżowe śledziwo. Wzruszał ramionami, zaklinał się, przysięgał, że milczał: widać to było. Wyzwolony, wrócił znów do ogrodu i po krótkiej naradzie ze swoimi pod łukowymi lampami wystąpił raz jeszcze z pożegnalną pieśnią.

Samotnik nie przypominał sobie, by słyszał kiedykolwiek tę pieśń; była to zuchwała brukowa śpiewka w niezrozumia-

²² *recitativo* (wł.) — ustęp w muzyce na pół śpiewany, na pół mówiony.

lym dialekcie, z refrenem śmiechu, w który banda regularnie wpadała pełnym głosem. Milkły przy tym zarówno słowa, jak i akompaniament instrumentów i nie pozostawało nic prócz jakoś rytmicznie uporządkowanego, ale bardzo naturalnie traktowanego śmiechu, który szczególnie solista umiał z wielkim talentem obdarzać ludzającą żywotnością. Przy znów przywróconym artystycznym dystansie między sobą i państwem odnalazł swą całą bezczelność i sztuczny śmiech jego, bezwstydnie przesyłany ku terasie, był śmiechem szyderczym. Już pod koniec artykułowanej części strofy zdawał się walczyć z nieznośną laskotką. Łkał, zachłystywał się, przyciskał ręką usta, ścigał ramiona i w danej chwili wybuchał, wyl i pękał od niepohamowanego śmiechu z taką prawdą, że śmiech działał zaraźliwie i udzielał się słuchaczom, że także na terasie zapanowała bezprzedmiotowa i tylko sobą żyjąca wesołość. To jednak zdawało się podwajać swawolność śpiewaka. Zginał kolana, bił się po udach, brał się za boki, omal nie pękał, już się nie śmiał, krzyczał; wskazywał palcem do góry, jak gdyby nie było nic komiczniejszego niż śmiejące się tam towarzystwo, i w końcu śmieli się wszyscy w ogrodzie i na terasie, aż do kelnerów, liftboyów i służby w drzwiach.

Aschenbach nie spoczywał już w fotelu, siedział wyprostowany, jakby gotów do obrony lub ucieczki. Ale śmiech, zawiewający w górę zapach szpitalny i bliskość pięknego chłopca spłotły się wokół niego w senny czar, który w sposób nierozzerwalny i nieodparty opętał jego głowę, jego zmysły. W ogólnym poruszeniu i roztargnieniu poważił się spojrzeć na Tadzia i, kiedy to uczynił, zauważył, że piękny chłopak, odwzajemniając jego spojrzenie, był równie poważny, zupełnie tak, jakby stosował zachowanie i minę do sposobu bycia tamtego i jakby ogólny nastrój nie miał nań wpływu, ponieważ tamten mu się nie poddawał. To dziecinne i zależne naśladownictwo miało w sobie coś tak rozbijającego i podbijającego, że siwowłosy z trudem powstrzymywał się od ukrycia twarzy w dłoniach. Zdawało mu się również, jakby

przypadkowe wyprostowanie i zaczerpnięcie oddechu przez Tadzia oznaczało westchnienie, duszność w piersiach. „Jest słabowity, prawdopodobnie nie pożyje długo” — pomyślał znów z tą rzeczowością, do której dochodzą czasem w sposób dziwny emancypujące się odurzenie i tęsknota; i czysta troska wraz z wybujałym uczuciem satysfakcji nappełniła jego serce.

Wenecjanie tymczasem skończyli i wychodzili. Towarzyżyły im oklaski i przewodnik ich nie omieszczał jeszcze odejścia swego ozdobić żartami. Jego ukłony i szurganie nogą, jego całusy posyłane rękami wywoływały śmiech, więc podwajał je. Gdy jego gromadka była już na dworze, udawał, jakby cofając się boleśnie uderzył plecami o maszt lampy, i niby kurcząc się z bólesci przemknął się ku bramie. Tam wreszcie zrzucił nagle maskę komicznego pechowca, wyprostował się, ba, wystrzelił elastycznie w górę, pokazał bezczelnie gościom na terasie język i wsiąkł w ciemność. Towarzystwo kuracjuszy rozeszło się. Tadzia dawno już nie było przy balustradzie. Ale samotnik siedział jeszcze długo, ku zdziwieniu kelnerów, nad resztą grenadyny przy swoim stoliku. Noc zapadła, czas upływał. W domu jego rodziców, przed wielu laty, była klepsydra — ujrzał nagle znów kruchy i poważny sprzącznik, jak gdyby stał przed nim. Bezgłośnie, delikatnie spływał rudy piasek przez szklany przesmyk i kiedy w górnym naczyniu miał się ku końcowi, tworzył się tam mały, rwisty wir.

Już nazajutrz po południu uczynił uparty człowiek, dla wystawienia świata zewnętrznego na próbę, krok, tym razem z wszelkim możliwym powodzeniem. Wszedł mianowicie z placu Świętego Marka do znajdującego się tam biura podróży i zmieniawszy w kasie pewną ilość pieniędzy zwrócił się z miną nieufnego cudzoziemca do obsługującego go urzędnika z swym fatalnym zapytaniem. Był to Brytyjczyk w wełnianym ubraniu, jeszcze młody, z przedziałem na środku głowy, z blisko siebie osadzonymi oczyma i z ową stateczną lojalnością w zachowaniu, która na łobuzersko-ruchliwym południu wydaje się tak obca, tak dziwna. Zaczął:

— Nie ma powodu do obawy, sir. Zarządzenie bez poważniejszego znaczenia. Takie nakazy wydaje się często, by zapobiec szkodliwym dla zdrowia skutkom upału i sirocca... — Ale wznosząc niebieskie oczy, spotkał wzrok cudzoziemca, znużone i nieco smutne spojrzenie, które z lekką pogardą zwrócone było na jego usta. Wtedy Anglik zaczerwienił się: — To jest — ciągnął półgłosem i z pewnym poruszeniem — urzędowe oświadczenie, przy którym obstawać uważają tu za stosowne. Powiem panu, że jeszcze coś innego kryje się za tym. — *I potem wyznał w swym rzetelnym i wygodnym języku całą prawdę.*

Od kilku już lat indyjska cholera okazywała skłonność do szerzenia się i wędrowania. Wylęgła z ciepłych bagien Gangesowej delty, wyzionęta z cuchnącym oddechem owej bujnej i beżużytecznej, przez ludzi omijanej pradziejowej, wyspiarskiej puszczy, w której bambusowych gąszczach czyha tygrys, zaraza szalała w całym Hindustanie stale i z niezwykłą mocą, przeszła na wschód do Chin, na zachód do Afganistanu i Persji i postępując szlakami karawan przeniosła swe okropności do Astrachania, ba, nawet aż do Moskwy. Lecz kiedy Europa drżała, że upiór może wtargnąć stamtąd drogą lądową, wynurzył się on, zawleczone morzem przez kupców syryjskich, niemal równocześnie w kilku śródziemnomorskich portach, podniósł głowę w Tulonie i Maladze, rzucił swą maskę w Palermo i Neapolu i nie chciał już, zda się, ustąpić z całej Kalabrii i Apulii. Północna część półwyspu została oszczędzona. Jednakże w połowie maja tego roku w Wenecji znaleziono jednego i tego samego dnia straszliwe wibiony w wyniszczonych i szerniałych trupach chłopca okrętowego i zieleniarki. Wypadki te zatajono. Ale po tygodniu było ich dziesięć, było dwadzieścia, trzydzieści, i to w różnych dzielnicach. Pewien człowiek z prowincji austriackiej, który dla przyjemności zatrzymał się na kilka dni w Wenecji, zmarł po powrocie do miasta rodzinnego wśród niedwuznacznych objawów i w ten sposób pierwsze pogłoski o pladze w mieście lagun dostały się do niemieckich dzienników. Zwierzchność

Wenecji kazała odpowiedzieć, że stan zdrowotny nigdy nie był lepszy, i przedsięwzięła konieczne kroki zapobiegawcze. Ale prawdopodobnie środki żywności, jarzyny, mięso i mleko, były zakażone, gdyż mimo zaprzeczania i tuszowania śmierć grasowała w wąskich uliczkach, a przedwczesne upały letnie, które ogrzewały wodę kanałów, sprzyjały szczególnie szerzeniu się jej. Ba, zdawało się, jakby siły zarazy okrzepły, jakby upartość i płodność jej zarodków podwoiła się. Wypadki wyzdrowienia były rzadkie; osiemdziesięciu na stu zaatakowanych marło, i to w sposób okropny, gdyż choroba występowała z dziką gwałtownością i przybierała często ową niebezpieczną formę, którą zwano „suchą”. W tych wypadkach organizm nie mógł nawet wydalić wydzielających się z krwionośnych naczyń ogromnych ilości wody. W przeciągu kilku godzin chory usychał i dusił się od stężałej jak smoła krwi wśród kurczów i chrapliwych skarg. Dobrze, jeżeli, co zdarzało się czasem, atak następował po lekkich nudnościach w postaci głębokiego omdlenia, z którego chory już się nie budził lub niemal nie wracał do przytomności. Z początkiem czerwca wypełniły się cichaczem izolacyjne barki Ospedale Civico, w obu sierocińcach zaczęło brakować miejsca i groźnie ożywiony ruch zapanował między nabrzeżem Nowych Fundamentów i San Michele, wyspą cmentarną. Ale obawa przed ogólnymi szkodami, względ na niedawno otwartą wystawę obrazów w ogrodach publicznych, na ogromne straty, które w razie paniki i zdyskredytowania groziły hotelom, sklepom, całemu różnorodnemu przemysłowi turystycznemu, okazały się w mieście potężniejsze niż miłość prawdy i szacunek dla międzynarodowych umów; zdołały one skłonić władze do uporczywego kontynuowania polityki przemilczania i zaprzeczania. Kierownik urzędu sanitarnego Wenecji, człowiek zasłużony, ustąpił z oburzeniem ze swego stanowiska, natychmiast zastąpiony przez bardziej uległą osobistość. Lud wiedział o tym; i korupcja zwierzchników wraz z panującą niepewnością, stanem wyjątkowym, w jaki wprowadziła miasto

czyhająca śmierć, wywołały pewną demoralizację w niższych warstwach, ośmielenie bojących się światła, społecznych popędów, które ujawniły się w nieumiarkowaniu, bezwstydzie i rosnącej zbrodniczości. Wbrew zwyczajom przestrzegano wieczorem wielu pijanych; złośliwy motłoch, mówiono, czyni nocą ulice niepewnymi: zdarzały się napady rabunkowe, a nawet morderstwa, gdyż dwukrotnie już okazało się, że osoby, które rzekomo padły ofiarą zarazy, zostały przez własnych krewnych za pomocą trucizny sprzątnięte ze świata. I zawodowe hultajstwo przybrało dotkliwie i wybujałe formy, które tu były nieznane, zadomowione jedynie na Południu i na Wschodzie.

O sprawach tych mówił Anglik w sposób świadczący o znajomości rzeczy.

Dobrze by pan zrobił — zakończył — wyjeżdżając natychmiast. Najpóźniej za kilka dni zarządzona będzie przerwa w komunikacji.

— Dziękuję panu — rzekł Aschenbach i opuścił biuro.

Na placu panowała bezsłoneczna parność. Nieświadomi niczego cudzoziemcy siedzieli przed kawiarniami lub stali, zupełnie pokryci gołębiami, przed kościołem, przyglądając się, jak ptaki, rojąc się i bijąc skrzydłami, spychały się wzajemnie, dziobiąc w zagłębieniu dłoni podawane ziarna kukurydzy. W gorączkowym podnieceniu, w tryumfalnym posiadaniu prawdy, przy tym z wstrętnym posmakiem w ustach i fantastyczną zgrozą w sercu, kroczył samotnik po płytach wspaniałego dziedzińca tam i z powrotem. Ważył w myśli oczyszczający go i przystojny czyn. Mógł dziś wieczór po obiedzie zbliżyć się do strojnej perłą damy i powiedzieć jej, co już dokładnie planował: „Pozwoli pani, madame, nieznajomemu służyć jej radą, ostrzeżeniem, które egoizm przed panią ukrywa. Niech pani odjedzie natychmiast z Tadziem i córkami! W Wenecji panuje zaraza!” Mógłby wtedy narzędziu sztychów bóstwa na pożegnanie położyć rękę na głowie, odwrócić się i uciec temu bagnetowi. Ale czuł jednocześnie, że jest nieskończenie daleki od tego, by poważnie myśleć o takim

kroku. Poprowadziłby go z powrotem, oddałby go znów samemu sobie; ale kto odchodzi od zmysłów, najbardziej się boi wrócić do siebie. Przypomnił sobie biały budynek ozdobiony lśnącymi o wieczorze napisami, w których prześwitującej mistyce gubiło się oko jego duszy; potem ową dziwną postać wędrowca, która w starzejącym się zbudziła młodzieńczą tęsknotę do dali i do obczyzny; i myśl o powrocie do domu, o rozsądku, trzeźwości, mozołach i mistrzostwie mierzyła go do tego stopnia, że skrzywiona twarz jego wyrażała fizyczne mdłości. — Trzeba milczeć! — szeptał gwałtownie i: — Będę milczał! — Świadomość jego współwiedzy, jego współwiny oszołamiała go, jak małe ilości wina oszołamiają znużony mózg. Obraz nawiedzonego plagą i opuszczonego miasta, unoszący się mętnie przed oczyma jego duszy, rozpałił w nim nadzieje nieuchwytne, przekraczające granice rozumu, nadzieje o przeogromnej słodczy. Czym było jego tkliwe szczęście, o którym przedtem marzył chwilę, w porównaniu z tymi oczekiwaniami? Cóż warta dłoń była jeszcze sztuka i cnota wobec korzyści chaosu? Milczał i został.

Tej nocy miał straszliwy sen — jeśli jako sen można określić cielesno-duchowe przeżycie, które zdarzyło mu się wprawdzie w najgłębszym uspieniu, w najzupełniejszej niezależności i przytomności zmysłów, lecz bez poczucia, że poza zdarzeniami porusza się i jest obecny w przestrzeni; widownią ich była raczej sama jego dusza i wdzierają się one z zewnątrz, gwałcąc jego opór, głęboki, duchowy opór, przechodziły i zostawiały za sobą jego istnienie, zostawiały kulturę jego życia spustoszoną, zniszczoną.

Zaczęło się od niepokoju, od niepokoju i pożądania, i ciekawości, co z tego wyniknie. Była noc i zmysły jego nashuchiwały; bo z daleka zbliżał się zgiełk, wrzawa, mieszanina hałasów: szcęk, łoskot, głuchy grzmot, przeraźliwy wrzask radości i wyraźne wycie przewlekłej głoski „u” — wszystko przeplecione, zagłuszone groźną słodczą głęboko gruchającej, haniebnie uporczywej gry fletu, która w bezwstydnym namiętnym sposobie czarowała wewnętrzną. Ale on

znał słowa, ciemne, lecz nazywające to, co nadchodziło: „Obcy bóg!” Zapłonął dymiący żar; wtedy poznał górski kraj, podobny do tego, który otaczał jego letni dom. I w potarganym świetle, z zalesionej wyżyny, między pniami a omszałymi gruzami skał toczyli się i spadali wirując w dół; ludzie, zwierzęta, tłum, szalejąca zgraja — i zaleli zbocze ciałami, płomieniami, rozgardiaszem i zataczającym się kręgiem taneicznym. Kobiety, potykające się o za długie odzienie ze skór, które zwisały im z przepasek, potrząsały brzękającymi bębenkami nad swymi z jękiem odrzucanymi w tył głowami, wywijały płonącymi pochodniami i gołymi sztyletami, trzymały syczące węże uchwycone w połowie ciała lub krzycząc niosły w obu rękach swe piersi. Mężczyźni z rogami na czole, włosy, przepasani skórą, zginali karki i podnosili ramiona i uda, bili w spizowce naczynia i walili wściekle w bębny, podczas gdy gładcy chłopcy owiniętymi listowiem laskami bodli kozły, trzymając się ich rogów i dając się z okrzykami radości wlec ich skokom. I upojeni wyli wydając z siebie miękkie spółgłoski i kończąc przeciągłym „u” słodko i dziko jednocześnie, w sposób niepodobny do żadnego krzyku: tu rozbrzmiał, wyrzucony w powietrze, jak ryk jeleni, a tam oddawano go wielogłośnie w wyuzdanym tryumfie, podżegano się nim nawzajem do tańca i wyrzucania członków i nie dawano mu nigdy zamilknąć. Ale wszystko przenikał i opanowywał głęboki, wabiący ton fletu. Czyż i jego, przeżywającego to z oporem, nie wabił flet z bezwstydną wytrwałością do zabawy i bezmiaru skrajnej ofiary? Wielka była jego odraza, wielka jego trwoga, rzetelna jego woła, by aż do końca chronić siebie przeciw obcemu, nieprzyjacielowi spokojnego i godnego ducha. Ale wrzawa, wycie, zwielokrotnione przez huczącą skałę, rosło, brało górę, nabrzmiewało porywającym oblędem. Zapachy dręczyły zmysły, gryzący odór kozłów, wyziewy dyszących ciał i woń jakby gnijących wód, poza tym inna jeszcze, znana: woń ran i panującej choroby. W takt uderzeń bębna dygotało jego serce, wirował mózg, porwała go wściekłość, zaślepienie, oghuszająca rozkosz

i dusza jego zapragnęła przylączyć się do orszaku boga. Odsłonięto i podniesiono olbrzymi, sprośny symbol zrobiony z drzewa, wtedy zawyli jeszcze rozpustniej hasło. Z pianą na ustach szaleli, drażnili siebie lubieżnymi ruchami i zalotnymi rękami, śmiejąc się i jęcząc kłuli sobie nawzajem ciała ostrymi tyrsami²³ i zlizywali krew z członków. Ale z nimi, w nich, by teraz on, śniący i należący do obcego boga. Ba, oni byli nim samym, gdy rodzierając i mordując rzucali się na zwierzęta i połykali dymiące strzępy, gdy na zmierzwionym mchu zaczęła się szalona orgia na ofiarę bogom. I dusza jego kosztowała nierzędu i rozpasania zraty.

Opętaniec zbudził się ze snu tego zdenerwowany, roztrzęsiony, bezsilny w mocy demona. Nie bał się już obserwujących spojrzeń ludzi; nie dbał o to, czy narażał się na ich podejrzenia. Zresztą uciekali, wyjeżdżali; liczne budki na plaży opustoszały, w sali jadalnej widniały wielkie luki, a na ulicach rzadko widywało się cudzoziemca. Prawda, widać, wyszła na jaw, paniki mimo silnej solidarności zainteresowanych nie dało się stłumić dłużej. Ale pani w perłowym naszyjniku pozostawała ze swoimi, czy to dlatego, że pogłoski nie docierały do niej, czy też że była za dumna i niestrudzona, by im ustąpić: Tadzio został i tamtemu, w jego oczarowaniu, zdawało się czasami, że ucieczka i śmierć wyparła całe niepokojące życie dokoła i pozostał on sam z pięknym chłopcem na wyspie — ba, gdy przed południem nad morzem jego wzrok spoczywał ciężko, nieodpowiedzialnie, nieprzytomnie na pożądanym, gdy o zmierzchu szedł beczennie w jego ślad ulicami, w których tajemniczo snuła się ohydna śmierć, wtedy potworność zdawała się pełną nadziei, a prawo obyczajowe niczym.

Jak byle kochanek pragnął podobać się i doznawać gorzkiego niepokoju, że może to być niemożliwe. Przydawał do swego ubrania odmładzające drobiazgi, wkładał szlachetne

²³ tyrs — laska zakończona szyszką pinii, owinięta bluszczem lub winną latoroślą, atrybut Dionizosa i menad.

kamienie i używał perfum, poświęcał kilka razy na dzień wiele czasu swej toalecie i przychodził do stołu wystrojony, podniecony, pełen napięcia. W obliczu słodkiej młodości, która go oczarowała, czuł wstręt do swego starzejącego się ciała; widok własnych siwych włosów, ostrych rysów twarzy przejmował go wstydem i beznadziejnością. Czuł potrzebę cieleśnego krzepienia i odświeżania się, odwiedzał często hotelowego fryzjera.

Siedząc rozparty w fotelu, w płaszczu fryzjerskim, pod pielęgnującymi rękami gaduły, przyglądał się udręczonymi oczyma swemu odbiciu w lustrze.

— Siwe — rzekł krzywiąc się.

— Trochę — odrzekł fryzjer. — Mianowicie z winy małego zaniedbania, obojętności w sprawach zewnętrznych, która jest zrozumiała u wybitnych osób, której jednak bezwarunkowo nie można pochwalić, i to tym mniej, że właśnie dla tych osób przesady co do tego, co naturalne czy sztuczne, nie są stosowne. Gdyby surowość moralna pewnych ludzi względem sztuki kosmetycznej w sposób logiczny odnosiła się i do ich zębów, to budziłoby niemało zgorszenia. Ostatecznie mamy tyle lat, do ilu poczuwa się nasz duch, nasze serce, i siwe włosy oznaczają może większą nieprawdę, niżby oznaczać mogła tak pogardzona poprawka. W pańskim wypadku ma się prawo do naturalnej barwy włosów. Pozwoli mi szanowny pan przywrócić po prostu ich kolor.

— Jak to? — spytał Aschenbach.

Wtedy wymowny fryzjer zmył gościowi głowę dwojaką wodą, jasną i ciemną, i stały się czarne jak w młodości. Ułożył je żelazkiem w miękkie fale, cofnął się i badał uczesaną głowę.

— Należałoby tylko jeszcze — rzekł — odświeżyć trochę cerę.

I jak ktoś, kto nie może skończyć, nie może się zadowolić, przechodził z ciągle na nowo ożywianą aktywnością od jednej czynności do drugiej. Aschenbach, spoczywając wygodnie, niezdolny się bronić, raczej z pełnym nadziei wzruszeniem z powodu tego, co się działo, widział w lustrze, jak jego brwi

sklepiają się wyraziściej i równomierniej, jak krój jego oczu wydłuża się, ich blask wzmacnia się przez lekkie podmalowanie powieki, widział, jak poniżej, gdzie cera miała wygląd brunatnej skóry, zjawia się lekko nałożony, delikatny karmin, jak dopiero co jeszcze bezkrwiste wargi nabierają malinowej barwy, bruzdy policzków, ust, zmarszczki oczu znikają pod kremem i technieniem młodości — ujrzał z biciem serca kwitnącego młodzieńca. Fryzjer poczuł w końcu zadowolenie, gdy zwyczajem takich ludzi podziękował ze skrzeczącą uprzejmością temu, którego obsługiwał.

Nieznaczną pomoc — rzekł wykańczając ostatecznie jego fizjonomię. — Teraz może szanowny pan zakochać się spokojnie.

Oczarowany pan odszedł, szczęśliwy jak we śnie, zmieszany i strwożony. Miał czerwony krawat, słomkowy kapelusz o szerokich skrzydłach, otoczony pstrą wstążką.

Zerwała się ciepła wichura; padał rzadki, skąpy deszcz; ale powietrze było wilgotne, parne, pełne wyziewów zgnilizny. Trzepot, plusk i szum wpadały w ucho i gorączkującemu pod szminką zdawało się, że wietrzne złe duchy wyprawiają harce w przestworzu, potworne ptactwo morza, które rozrzuca ucztę skazańca, rozdziubuje ją i plugawi kałem. Gdyż duchota odbierała chęć do jedzenia i nasuwało się wyobrażenie, że potrawy zatrute są zarazkami.

Po śladach pięknego chłopca zapuścił się Aschenbach pewnego popołudnia w wewnętrzną płataninę chorego miasta. Tracąc orientację, gdyż uliczki, małe kanały, mosty i place labiryntu były zbyt do siebie podobne, niepewny już i stron świata, baczył jedynie, aby nie stracić z oczu tęsknie ściganego obrazu, i zmuszony do haniebnej ostrożności, tuląc się do murów, szukając za plecami przed nim idących nie uświadamiał sobie od dawna znużenia i wyczerpania, którymi uczucie i ustawiczne napięcie przejęło jego ciało, jego ducha. Tadzio szedł za swoimi, puszczał zazwyczaj guwernantkę i podobne do zakonnic siostry w ciasnocie przodem i wlokąc się pojedynkiem odwracał chwilami głowę, by poprzez ramię

upewnić się spojrzeniem swych dziwnych, jak zmierzch szarych oczu, czy postępuje za nim jego wielbiciel. Widział i nie zdradzał go. Oszołomiony tym odkryciem, nęcony przez te oczy, wleczony na błazeńskim pasku namiętności, przekradał się za nim kochanek z swą nieprzystojną nadzieją — i ostatecznie stracił ich jednak z oczu. Polacy przekroczyli krótki, sklepiony most, łuk zakrył ich prześladowcy i kiedy znalazł się na górze, przekonał się, że ich już nie ma. Szukał ich w trzech kierunkach, wprost i z obu stron wzdłuż wąskiego i brudnego wybrzeża, daremnie. Zdenerwowanie, osłabienie zmusiły go wreszcie zaniechać poszukiwania.

Głowa jego płonęła, ciało pokryło się lepkiem potem, kark drżał, dręczyło go nieznosne pragnienie, oglądał się za jakim bądź chwilowym pokrzepieniem. Przed sklepikiem z jarzynami kupił trochę owoców, poziomek, przejrzałych i miękkich, pojadał idąc. Mały placyk, opuszczony, niesamowicie mroczny, otworzył się przed nim; poznał go, tutaj to przed kilku tygodniami powziął nieudany plan ucieczki. Na stopniu studni pośrodku placu osunął się i oparł głowę o kamienną cembrowinę. Było cicho, trawa rosła między brukiem, odpadki leżały dokoła. Między zwietrzałymi murami nierównej wysokości domów dokoła znajdował się jeden podobny do pałacu, z ostrołukowymi oknami, za którymi mieszkała pustka, i z balkonikami o lwich głowach. Na parterze innego znajdowała się apteka. Ciepłe powiewy przynosiły chwilami zapach karbolu.

Siedział tam, mistrz, wsławiony artysta, autor *Nędznika*, który w tak wzorowo czystej formie wyrzekł się cyganerii i mętnej głębi, odmówił sympatii bezdni i odrzucił nikczemność, ten, który wzniósł się na szczyty, przezwyciężył swą wiedzę i wyrósł z wszelkiej ironii, przyzwyczaił się do zobowiązań, jakie nań nakładało zaufanie mas, on, którego sława była urzędowa, nazwisko uszlachczone, na którego stylu mieli się kształcić chłopcy — siedział tam z zamkniętymi powiekami, tylko chwilami wymykało się spod nich, szybko ukrywając się znowu, szydercze i stropione spojrzenie i obwisłe wargi,

kosmetycznie uwydatnione, kształtowały pojedyncze słowa z tego, co wydobywał jego na wpół drzemiący mózg z osobliwej sennej logiki.

— Gdyż piękno, pamiętaj, Fajdroisie, tylko piękno jest boskie i widzialne zarazem i w ten sposób jest więc drogą zmysłowości, jest, mały Fajdroisie, drogą artysty do ducha. Ale czy wierzysz, mój drogi, że może pozyskać kiedyś mądrość i prawdziwą godność męską ten, dla którego droga do duchowości prowadzi przez zmysły? Lub czy sądzisz raczej (pozostawiam ci to do rozstrzygnięcia), że jest to niebezpiecznie miła droga, zaiste droga błędu i grzechu, która musi wieść na manowce? Gdyż trzeba ci wiedzieć, że my, poeci, nie możemy iść drogą piękna, żeby nie przyłączył się Eros i nie narzucił się na przewodnika; ba, choćbyśmy byli nawet bohaterami na swój sposób i dzielnymi wojownikami, to jesteśmy jak kobiety, gdyż namiętność jest naszym wywyższeniem i naszą tęsknotą musi pozostać miłość — to jest nasza rozkosz i nasza hańba. Widzisz więc teraz, że my, poeci, nie możemy być mądrzy ani godni? Ze z konieczności schodzimy na manowce, z konieczności musimy być rozpustnikami i awanturnikami uczucia? Mistrzostwo naszego stylu to kłamstwo i błazeństwo, nasza sława i godność to krotochwila, zaufanie tłumy do nas w najwyższym stopniu jest śmieszne, wychowywanie ludzi i młodzieży przez sztukę jest zuchwałym i karygodnym przedsięwzięciem. Bo jakżeby miał być zdalny na wychowawcę ten, który ma niepoprawny i naturalny pociąg do przepaści? Moglibyśmy się oczywiście jej zaprzeć i zyskać godność, ale jakkolwiekbyśmy się obrócili, nęci nas ona. Więc wyrzekamy się zgubnego poznania, gdyż poznanie, Fajdroisie, nie ma żadnej godności i surowości; jest wiedzącą, rozumiejącą, wybaczącą bez postawy i formy; ma sympatię do przepaści, j e s t przepaścią. Więc odrzucamy je stanowczo i odtąd dążenie nasze ma na celu jedynie piękno, to znaczy prostotę, wielkość i nową surowość, drugą naturalność i formę. Ale forma i naturalność, Fajdroisie, prowa-

dą do upojenia i pożądania, prowadzą szlachetnego może człowieka do strasznej zbrodni uczucia, którą jego własna, piękna surowość odrzuca jako haniebną, prowadzą do przepaści, i one prowadzą do przepaści. Nas, poetów, powiadam, prowadzą one tam, gdyż nie jesteśmy zdolni do wzlotów, tylko do wyskoków. A teraz odchodzę, Fajdrocie, ty zostań tu; i dopiero gdy mnie już nie będziesz widział, odejdziesz i ty.

Kilka dni później, czując się cierpiącym, opuścił Gustaw Aschenbach Hotel Kąpielowy o późniejszej niż zwykle godzinie. Musiał walczyć z pewnymi, tylko na pół fizycznymi napadami zawrotów głowy, którym towarzyszył gwałtownie rosnący lęk, uczucie bezwyjściowości i beznadziejności, co do którego nie było rzeczą jasną, czy odnosi się do świata zewnętrznego, czy do jego własnego istnienia. W hallu zauważył wielkie mnóstwo gotowych bagaży, zapytał portiera, kto wyjeżdża, i usłyszał w odpowiedzi polskie nazwisko szlacheckie, którego dowiedział się potajemnie. Przyjął to bez zmiany w rysach zapadniętej twarzy, z owym kurczowym podniesieniem głowy, z jakim mimochodem przyjmuje się do wiadomości coś, na czym nie zależy, i spytał jeszcze: — Kiedy? — Odpowiedziano mu: — Po lunchu. — Skinął głową i poszedł nad morze.

Było tam niegościnnie. Po szerokiej, płaskiej wodzie, która dzieliła plażę od pierwszej podłużnej ławicy piasku, biegly zmarszczki fal. Jesiennosc, coś przeżytego zdawało się zalegać tak niegdyś barwnie ożywione, teraz opuszczone prawie kąpielisko, którego piasku nie utrzymywano już w czystości. Aparat fotograficzny, zdawało się, bezpański, stał na swym trójnogim statywie na brzegu morza i czarne sukno rozpostarte nad nim trzepotało klaszcząc w chłodniejszym wietrze.

Tadzio z dwoma czy trzema towarzyszami zabawy, jacy mu pozostali, kręcił się na prawo od budki swoich bliskich i Aschenbach, z pledem na kolanach, spoczywając na leżaku mniej więcej w połowie między morzem i szeregiem budek plażowych, przyglądał mu się raz jeszcze. Zabawa bez nad-

zoru, gdyż panie musiały być zajęte przygotowaniami do podróży, zdawała się nieprawidłowa i zwyrodniała. Ów dryblas w ubraniu z paskiem, z czarnym, napomadowanym włosom, na którego wołali „Jasiu”, podrażniony i oślepiiony rzuconym w twarz piaskiem, zmusił słabszego od siebie Tadzia do zapasów, które wnet skończyły się upadkiem pięknego chłopca. Ale, jak gdyby w godzinie pożegnania służebne uczucie pośledniejszego zmieniło się w okrutną dzikość i starało się wziąć odwet za długie niewolnictwo, zwycięzca i wtedy jeszcze nie poniechał pokonanego, lecz klęcząc na jego grzbiecie wciskał tak uporczywie twarz jego w piasek, że Tadziowi, już i tak wyczerpanemu walką, groziło uduszenie. Jego usiłowania, by strząsnąć z siebie ciężar, były kurczowe, ustawały na chwilę zupełnie i powtarzały się jeszcze tylko jako drgawki. Aschenbach, przerażony, chciał skoczyć na ratunek, gdy gwałtownik wreszcie wypuścił ofiarę. Tadzio, bardzo blady, podniósł się na pół i siedział, wsparty na jednym ramieniu, przez kilka minut nieruchomo, z rozczochranymi włosami i ciemniejącymi oczyma. Potem wstał zupełnie i oddalił się powoli. Wołano go, zrazu wesoło, potem z niepokojem i prośbą, nie słyszał. Czarny, którego natychmiast musiał przejąć żal z powodu wybryku, dopędził go i zdawał się przeproszać. Wzruszenie ramion odprawiło go. Tadzio poszedł na skos do wody. Był boso i miał na sobie lniane ubranie w paski z czerwoną kokardą.

Na brzegu stanął z pochyloną głową, rysując końcem stopy figury w piasku, po czym wszedł do wody, która w najgłębszym miejscu nie sięgała mu do kolan, przemierzył ją posuwając się leniwo i dobrnął do ławy piasku. Tam postął chwilę z twarzą zwróconą w dal, potem zaczął się posuwać w lewo długim i wąskim pasem obnażonego gruntu. Oddzielony od ładu szeroką wodą, oddzielony od towarzyszy dumnym kaprysem, kroczył odosobnioną, oderwaną zjawą hen, w morzu, w wietrze, na tle mglistego bezgranicza. Znowu przystanął zapatrzony przed siebie. I nagle, pod wpływem wspomnienia, impulsu, odwrócił się górną częścią ciała, z ręką na

spojrzeniem. Głowa jego na poręczu leżaka towarzyszy
powoli ruchowi kroczącego w dali; teraz podniosła
niejako na spotkanie spojrzenia, i opadła na pierś, tak że
jego patrzyły z dołu, podczas gdy twarz przybrała znużenie
do wewnątrz zwrócony wyraz głębokiej drzemki. Jemu
wało się jednak, jak gdyby blady psychagog tam, dał
uśmiechał się doń, kiwał nań; jak gdyby odrywając ręce
biodra wskazywał w dal, lecąc przodem w pełną obłąkałość
niezmierzoność. I, jak to często czynił, chciał powstać, b
za nim.

Minęło parę minut, nim opadłemu na bok w le
pośpieszono z pomocą. Przeniesiono go do jego po
I jeszcze tego samego dnia poruszony świat z respe
przyjął wiadomość o jego śmierci.

biodrze, pięknym odchyleniem od swej zasadniczej postawy i spojrzał przez tamę ku brzegowi. Patrzący tam siedział, jak niegdyś, gdy po raz pierwszy od owego progu odwzajemniony, ten jak zmierzch szary wzrok spotkał się z jego spojrzeniem. Głowa jego na poręczy leżaka towarzyszyła powoli ruchowi kroczącego w dali; teraz podniosła się, niejako na spotkanie spojrzenia, i opadła na pierś, tak że oczy jego patrzyły z dołu, podczas gdy twarz przybrała znużony, do wewnątrz zwrócony wyraz głębokiej drzemki. Jemu zdawało się jednak, jak gdyby blady psychagog tam, daleko, uśmiechał się doń, kiwał nań; jak gdyby odrywając rękę od biodra wskazywał w dal, lecąc przodem w pełną obietnic niezmierzoność. I, jak to często czynił, chciał powstać, by iść za nim.

Minęło parę minut, nim opadłemu na bok w leżaku pośpieszono z pomocą. Przeniesiono go do jego pokoju. I jeszcze tego samego dnia poruszony świat z respektem przyjął wiadomość o jego śmierci.